

NAOKOŁO ŚWIATA



zł. 1.50



ZNACZKI POCZTOWE DO ZBIORÓW posiadamy wielki wybór znaczków starych i nowości po cenach niskich. Specjalny katalog i album do znaczków polskich. Dział numizmatyczny. Kupujemy stare znaczki pocztowe, monety i antyki.

DOM FILATELISTYCZNY

A. PACHOŃSKI WARSZAWA, UL. JASNA 16
róg Świętokrzyskiej naprzeciw P. K. O.

Przy wszelkich zapytaniach znaczek na odpowiedź. Cennik bezpłatnie.

— Z I O Ł A —

„CHOLEKINAZA”

— H. NIEMOJEWSKIEGO —

STOSUJE SIĘ **przy chorobach wątroby, zlej przemianie materji i kamieniach żółciowych.**

ŻAДАĆ W APTEKACH I SKŁADACH APTECZNYCH

Broszury wysyła labor. fizj.-chem. „Cholekinaza”, Nowy-Świat 5, Warszawa, tel. 9-74-96.

Człowiek
nowoczesny
podróżuje samolotem



Wojtuś je...

Fot. Z. Mysłowski

Z DZIEDZINY KOSMETYKI:

„Szczuj swą młodość i urodę” — oto hasło przewodnie, przyświecające obecnie niezliczonym rzeszom kobiet na całym świecie. Użycie kremów, pudrów, płynów, maści i t. p. środków kosmetycznych rozpowszechniło się niesłychanie wśród wszystkich sfer.

Z tego względu uważam, iż pewne wskazówki w tej mierze zawsze muszą się przydać paniom — pogadankę obecną zamierzam właśnie poświęcić temu ważnemu zagadnieniu, jakim jest pielęgnowanie cery.

Cera jest najdroższym skarbem pani — pielęgnować ją należy umiejętnie, a więc rano umyć ciepłą wodą z *otrąbkami Aburidowemi*, które zapewniają gładkość skóry i przyspieszają obieg krwi w naczyniach krwionośnych na twarzy, co przyczynia się do elastyczności mięśni i do świeżości naskórka.

Potem — na wilgotno — to ostatnie jest ważne — należy wetrzeć trochę kremu, rozcierając go lekko od nasady nosa w górę, w kierunku uszu i skroni.

Wybór kremu decyduje o cerze pani: wszystkie kremy, preparowane na podstawie tłuszczów zwierzęcych, nawet rafinowanych szlachetnie — nigdy nie będą miały tego działania, co krem, pochodzący z przetworów roślinnych. Z kremów tego typu prym trzyma *Abarid*, sporządzony z wyciągu galaretowatego cebulek lilji białej — może on też być polecany wszystkim paniom, pragnącym mieć skórę jasną, matową, czystą od wszelkich plam, wyprysków, wągrów i t. p.

Oprócz powyższego kremu niemiń godnym polecenia jest *Seta-krem*, służący jako doskonały podkład pod puder — niezbędny dla pań o skłonnościach do tłustej cery, gdyż on ją matuje, utrzymuje warstwę pudru bez względu na zmiany atmosferyczne.

Pudrowanie jest ostatniem ogniwem w łańcuchu czynności pielęgnowania cery, powtarzam — puder pielęgnuje cerę, nietylko ją upiększa. Oczywiście, dzieje się to wtedy tylko, gdy możemy być pewni, iż nie zawiera trujących domieszek metalicznych, jak ołów, bizmut, biel cynkowa i t. d.

Laboratorium „Perfection”, wierne swej zasadzie sporządzania kosmetyków tylko z przetworów roślinnych, produkuje doskonały gatunek pudru, t. zw. *Aburid*, który każda z pań może zastosować do swej cery, gdyż wyrabiany jest w rozległej gamie aż 14 odcieni.

M-me Erce-des

NAOKOŁO ŚWIATA

TREŚĆ NUMERU

EUROPA W ŻAŁOBIE, St. R.	Str. 4
MIGAWKI WSPOMNIENI, W. Firsoff	" 8
CZŁOWIEK PRZYSZŁOŚCI W ŚWIEŹLE BADAŃ, L. C.	10
CIEŻKA WODA, Z.	15
MANEWRY	16
ZAKLINACZE WĘŻÓW, delta es	18
OMYŁKA WE MCLE, Brunon Dzimicz	23
OSSENDOWSKI W KRAJU NIEZNANYM, Cz.	28
BRAMA WSCHODU, J Radziwiński.	30
GEORGE RAFT	34
O WŁOS OD ŚMIERCI, I. Ilf i E. Pietrow	35
SKARBY MRÓWEK, Inż. Z. Chelmoński	39
„CORRIDA DE LA PRENSA”, Jadwiga Rapacka	44
OLGA CZECHOWA	50
PERELKA, Magdalena Samozwaniec	51
DZIENNIK BUDOWY, Zbigniew Czech	53
KAKTUSY	58
NIEPOTRZEBNE SPOTKANIE, Zofja Lorentzówna	59
FREDRICH MARCH	61
KULTURA KOLORU, Feliks M.	63
PECH, T. Wielawski i W. Winiarz	68
ŚWIAT PODZIEMI, Wanda Kragen	72
O DZIEJACH WIDELCA (t. n.)	76

Okladkę projektował E. Wierzbicki

Adres Redakcji i Administracji
„N A O K O Ł O Ś W I A T A”
Warszawa, Zgoda 12, tel. 522-14

Administracja czynna codziennie od godz. 13 do 15
Prenumerata kwartalna w kraju, wraz z przesyłką, wynosi
4 zł. 50 gr., zagranicą 8 zł. 50 gr.

Zeszyt pojedynczy 1 zł. 50 gr.

Rękopisów i fotografii niezamówionych redakcja nie zwraca

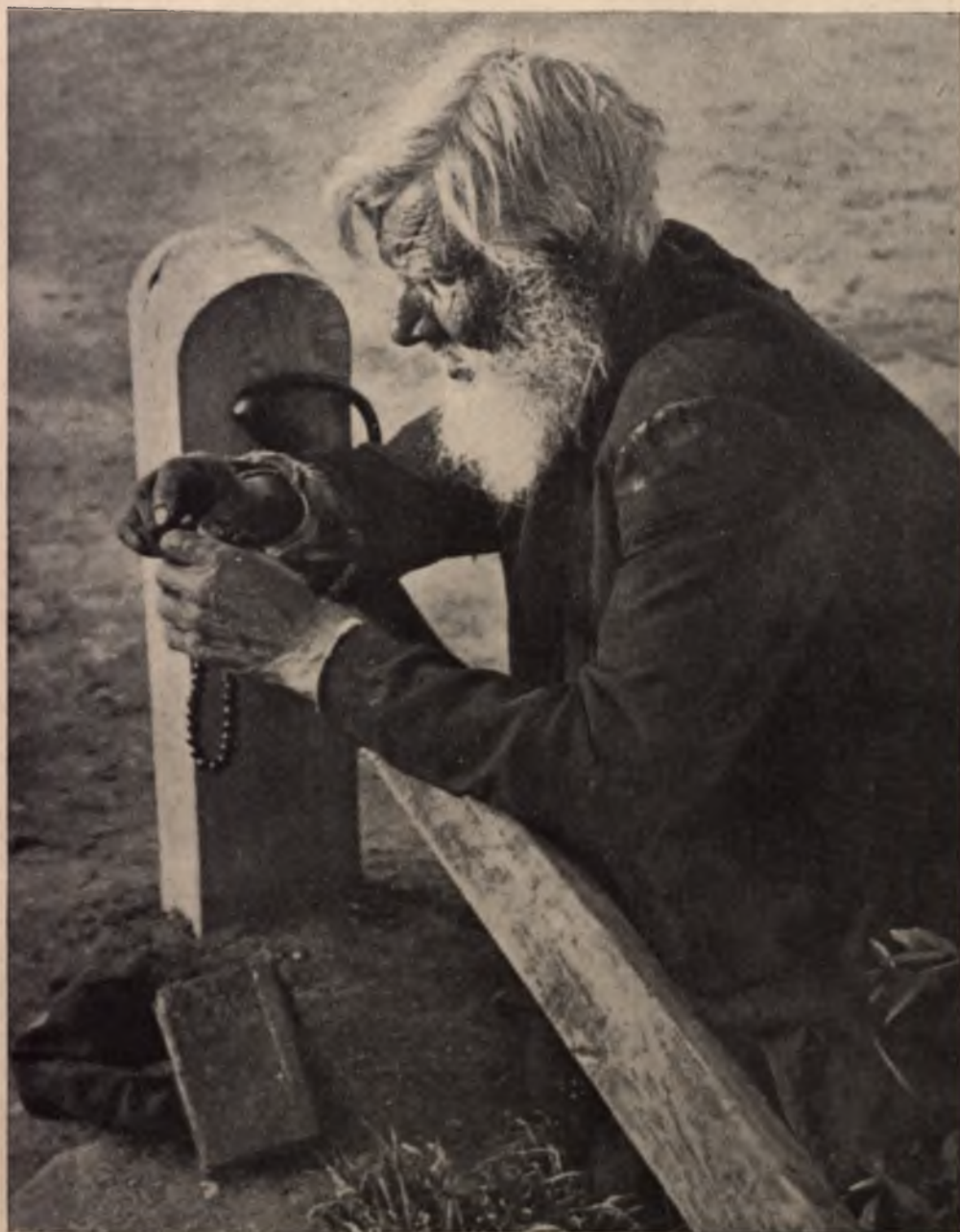
4549 II



NAOKOŁO ŚWIATA

Nr. 127

LISTOPAD 1934 R.



Ż e b r a k

Fot. B. Bohatyrewicz



EUROPA W ŻAŁOBIE

Układ sił politycznych dzisiejszej Europy wyróżnia się pewną znamionną cechą: nikt nikomu nie dowierza, gdy zaś którykolwiek z rządów podejmie jakąś inicjatywę, uzasadnianą względami na pokój ogólnoeuropejski, natychmiast wśród reszty państw budzą się podejrzenia, że inicjatywa jest oparta na egoizmie innego państwa, uwzględnia tylko jego własne interesy, wymierzona jest przeciw interesom innych.

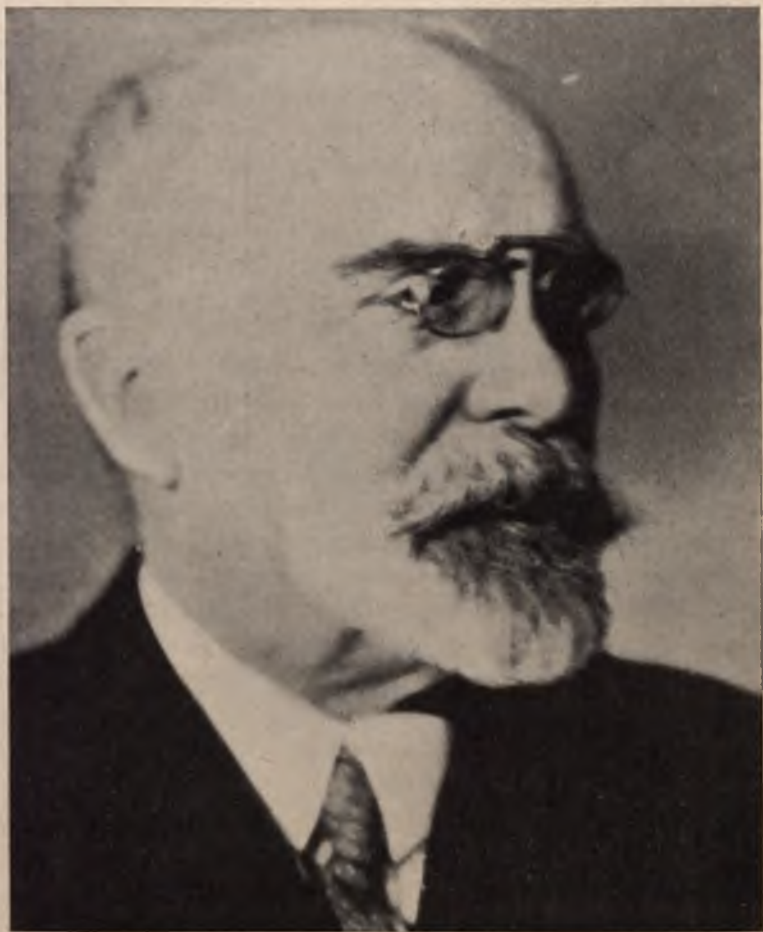
Długoletnia działalność Ligi Narodów, instytucji mającej ogniskować wszelką wspólność europejską, ujednostajniać akcję polityczną, w szczególności akcję pokojową, nie na wiele się przydała, jesteśmy dziś dalej od upragnionej harmonji, niż kiedykolwiek w latach powojennych.

I dopiero w chwilach śmiertelnych ciosów, po których następuje wstrząs moralny i wybuch gwałtownego żalu,

wytwarza się jakieś tragiczne zakłopotanie i pełne zawstydzenia przeświadczenie, że gdy coś zaboli mocno, to zaboli wszystkich.

Tak właśnie zabolą Europę i tak nią wstrząsnęła śmierć bohaterskiego króla Jugosławji, Aleksandra I, Zjednoczyciela Słowian południowych. Morderczy zamach wyrósł na gruncie spisku, skierowanego przeciw zjednoczeniu Jugosławji, ma też wszystkie cechy wewnętrznej sprawy tego królestwa. A jednak reakcja przeciw zbrodni objęła całą Europę. Żal spowodu utraty tak twórczej politycznie i moralnie osobistości, jaką był zabity król, musiał

się stać powszechny, bo jakkolwiek byłaby skłócona Europa, nigdy nie umiała wyrzec się czci dla bohaterstwa, a król Aleksander uosabiał je w najwyższej mierze. Nie potrafi też Europa, mimo różnych pozorów i mimo zjawiających się tu i ówdzie oznak chępliwości bojowej, zapomnieć krwawej lekcji wojny, a stąd i trwogi przed nową wojną. I znowu król Aleksander uosabiał głębokie i szczere pragnienie pokoju i wyraźną, konkretną pracę nad jego rozszerzeniem i umocnieniem. Śmierć zaskoczyła go w chwili, gdy przybył do Francji, aby wspólnie z nią zamanifestować doniosłą akcję porozu-



mienia nad Adrytykiem, akcję, której celem było wytworzyć odprężenie stosunków francusko-włosko-jugosłowiańskich i zmienić je na współpracę. Oto dlaczego skutki zamachu muszą sięgać dalej, poza sferę wewnętrznych spraw jugosłowiańskich, i oto dlaczego tak powszechny stał się niepokój o najbliższe dni w Europie. Niezgoda w swoich tendencjach politycznych Europa, pełna dążeń odśrodkowych i wybujałości nacjonalistycznych, nie umiała i nie chciała ukryć, że w gruncie rzeczy żyje w nieustannej trwodze, świadoma, że jest, a przynajmniej powinna być jednością i wspólnotą.

Niema też najmniejszej przesady w tych głosach serdecznego żalu, które bolejąc nad niezasłużoną, jakże przedwczesną śmiercią bohaterskiego króla Aleksandra, widzą w niej jeszcze doniosłą ofiarę na ołtarzu politycznego odrodzenia Europy.

*

Wzruszającą ofiarą na rzecz pokoju jest także śmierć Ludwika Barthou, zabitego w zamachu marsylskim. Jak zdumiewająca była aktywność tego wielkiego męża stanu, francuskiego ministra spraw zagranicznych, od szeregu miesięcy zabiegającego o rozszerzenie dotychczasowych podstaw pokoju europejskiego! Ile przeszkód miał do zwalczania i ile napotykał koncepcyj, które inaczej kształtowały akcję pokojową, odrębnie i różnie od jego pomysłów, co wynikało w sposób naturalny z nowego układu sił, zwłaszcza na wschodzie Europy, zwłaszcza w Polsce. Ale Barthou był niezrażony, nie cofał się, podejmował dalsze próby uzgodnienia swojej linii postępowania z przeciwstawiającymi się jej planami tych państw, bez

których nie może być prawdziwego dzieła pokoju.

W sposób symboliczny, prawie mistyczny mieszała się krew francuska i jugosłowiańska. Życie łączyło Francję i Jugosławię w wojnie i pokoju, dwa te narody stanowiły rzadki wzór przyjaźni i porozumienia. Wspólna żałoba i wspólne cierpienie stały się też szlachetną okazją dla zmanifestowania ciągłości przyjaźni, która była zawsze poważnym czynnikiem równowagi europejskiej i ogólnego bezpieczeństwa. Stąd także tak wymowny udział Francji w uroczystościach pogrzebowych w Belgradzie, gdy za trumną władcy Jugosłowian siedł prezydent Republiki Francuskiej Lebrun i zwycięski w wojnie marszałek Pétain.

Ś. p. Ludwik Barthou — to mąż stanu dobrze zasłużony dla Francji i dla dzieła pokoju europejskiego. To jeszcze głęboki umysł, pełen zasługi dla rozwoju myśli i kultury francuskiej, którą umiał reprezentować jako znakomity uczony i jako pisarz.

*

Rajmund Poincaré — to jeszcze jedna bolesna strata Francji. Strata męża stanu i świetnego obywatela, którego życie upłynęło w służbie dla dobra narodu i dla wielkości Francji. Wielokrotny minister, premier, a w czasie wojny prezydent Republiki, wносił Poincaré w życie polityczne element zdecydowania, jasności programu, konsekwencji w jego wykonywaniu, zaufania do lepszych instynktów obywateli.

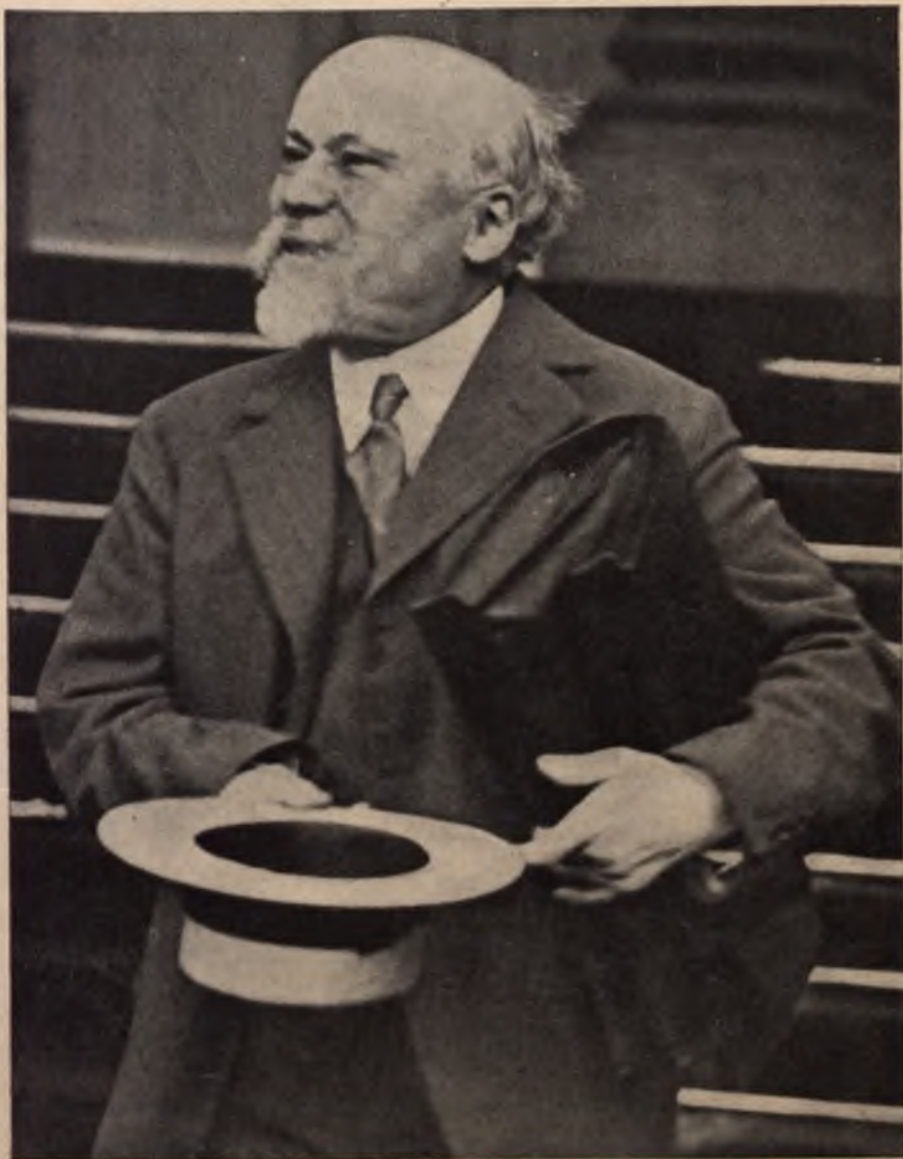
Z okresu wojny wyniósł Poincaré zaszczytny tytuł „artisan de la victoire“, z okresu prezesury rządu w r. 1926 — nieoficjalnego dyktatora finansowego, który ocalił kraj od ruiny inflacyjnej,

a uczynił to jedynie na podstawie odrodzonego zaufania między rządem a społeczeństwem. Poincaré właśnie odrodził to zaufanie, zmarnowane przez rządy kartelu lewicy, a odrodził je dlatego, że jako mąż stanu i jako człowiek idei cieszył się sam nigdy nie słabnącem zaufaniem. Krytykowano nieraz jego posunięcia, nawet jego ideologję polityczną — nie wątpiono nigdy o je-

go prawości charakteru, uczciwości intencyj i osobistej bezinteresowności.

„Dobrze zasłużony dla ojczyzny“ — poświęcił jej Rajmund Poincaré wszystkie swoje siły umysłu i serca, energję i żelazną pracowitość. Za życia nagrodzony powszechnym szacunkiem narodu i jego pełnem zaufaniem, zjednoczył po swym zgonie naród francuski w hołdzie wdzięczności i żalu.

St. R.





Obraz Wacława Poznańskiego

Migawki wspomnień

Tłuczą się myśli — zamazane, niejasne, jak latarnie we mgle, dnie mijają jak świetlne plamy szyb wystawowych, widziane przez mokre od deszczu okna taksówki. Wczoraj — dziś, wczoraj — dziś... Czemu na twarzy mej ostre kładą się zmarszczki? Czemu wzrok mój jest sępi i zły?

Pamiętam, jak wczoraj — chyba wczoraj to było?...

Cicho pluskają fale szaro-zielone, błyskają na grzbietach żelatynową czerwienią. Szare, nieprzytulne skaliska, ulane w kształt leżącego wielbłąda — między garbem i głową — maszty radjostacji, nad niemi — kłębią się mgły. Niżej po zboczach pną się niskie, białe murki i ciemne parasole pinij chylą się nad winnicami. Na wodach zatoki drzemią szaro-zielone, długie krokodyle bojowych okrętów, horyzont zamyka sznur pasiatych torpedowców. Na redzie pławi się pancerne cielsko Iron Dunk'e, wyciąga przed siebie sztywne stalowe lufy-odnoża, przykrytych celą 14-calowych dział. Głęboko w morze

wcina się molo, zakończone wieżyczką latarni, a za niem, w niebieskawej mgle, rysuje się Sierra Nevada.

Oparty o burtę Ak-Denisu, stoi młody oficer królewskiej marynarki, obok — wysoka panna, blondynka. Pamiętam jej oczy — były szare, osadzone trochę zablisko nosa — miała miły uśmiech. Rozmawiają.

Odpoczywam na leżaku, rozciągnięty bezwładnie i żuję winogrona. Jest gorąco — za cieśniną Tarika — Czarny Łąd, a tam, gdzieś za górami — piaski Sahary.

Nad pokładem krążą białe mewy i ciemne kormorany. Głęboko w wodzie zielonym cieniem przesuwają się olbrzymia miecz-ryba z długim dziobem i znika w głębinie.

— Purgá!...¹⁾ Purgá!... lecą wirujące smugi śniegu, z szelestem przesypują się po polach. W mlecznej, drżącej mgle mordercze maszyny Sir Percy Maxima wystukują długie, suche, puste trele, głucho szczekają 3-calówki Armstronga. Sypie się śnieg, zalepia oczy, topnieje na gorących policzkach. Wichler kręci blade wiry.

— Saaaandström!... Peeer!... Ahoy!...

W odpowiedzi dobiega z oddali charczący chichot szrapneli... Purgá.

Kołnierz szynelu ociera szyję, jest postawiony, furażerka — zsunięta na uszy. Ręce tkwią głęboko w przepaścistych kieszeniach. Miedziane guziki oblepił szron — lew i jednorożec... „Honni soit qui mal y pense“... „Dieu et mon droit“... Długi, jak szabla, bagniet Lee-Medforda chwije się na lewym biodrze — O. H. M. S.

Jestem głodny, w głowie się kręci, policzki mam gorące, na czole pod miękkim daszkiem kroplami występuje pot. A szynel taki ciężki, ciężki — grube, rudo-zielone sukno, kołnierz ociera szyję. Guziki okrył szron — „Honni soit, qui mal y pense“... „Dieu et mon droit“.

Oczy się kleją. Płatki śniegu topnieją na policzkach, zimne strumyki spływają po szyi wdół.

— Spać!... Spać!... Mamo, spać!

Potykam się o coś, upadam twarzą w zimny, mokry śnieg, czuję zimno na rozpalonem czole, jest mi dobrze — zasypiam.

Fale dreszczu przebiegają ziemią: daleko, na południu biją ciężkie armaty, czerwoną pożogą prychają nad morzem, smaganem przez lodowaty North-East.

— Bum... bum, bum... buum...

Podnoszę głowę. Przecina go prawosławny krzyż z ukośną poprzeczką... „Wiecznyj pakoj“... Bum... Buum... bum... Jestem sam na ementarzu. Dokoła wiruje śnieg, nie widać nic — purgá. Co to mnie obchodzi?... czy mnie wogóle coś obchodzi? — ja chcę spać. Zimne płatki śniegu topnieją na twarzy. Jest styczeń 1920 rok. Guziki okrył szron — „Dieu et mon droit“.

— Bum... bum... bum, bum, bum... Ściemnia się.

¹⁾ Zamieć.

CZŁOWIEK PRZYSZŁOŚĆ

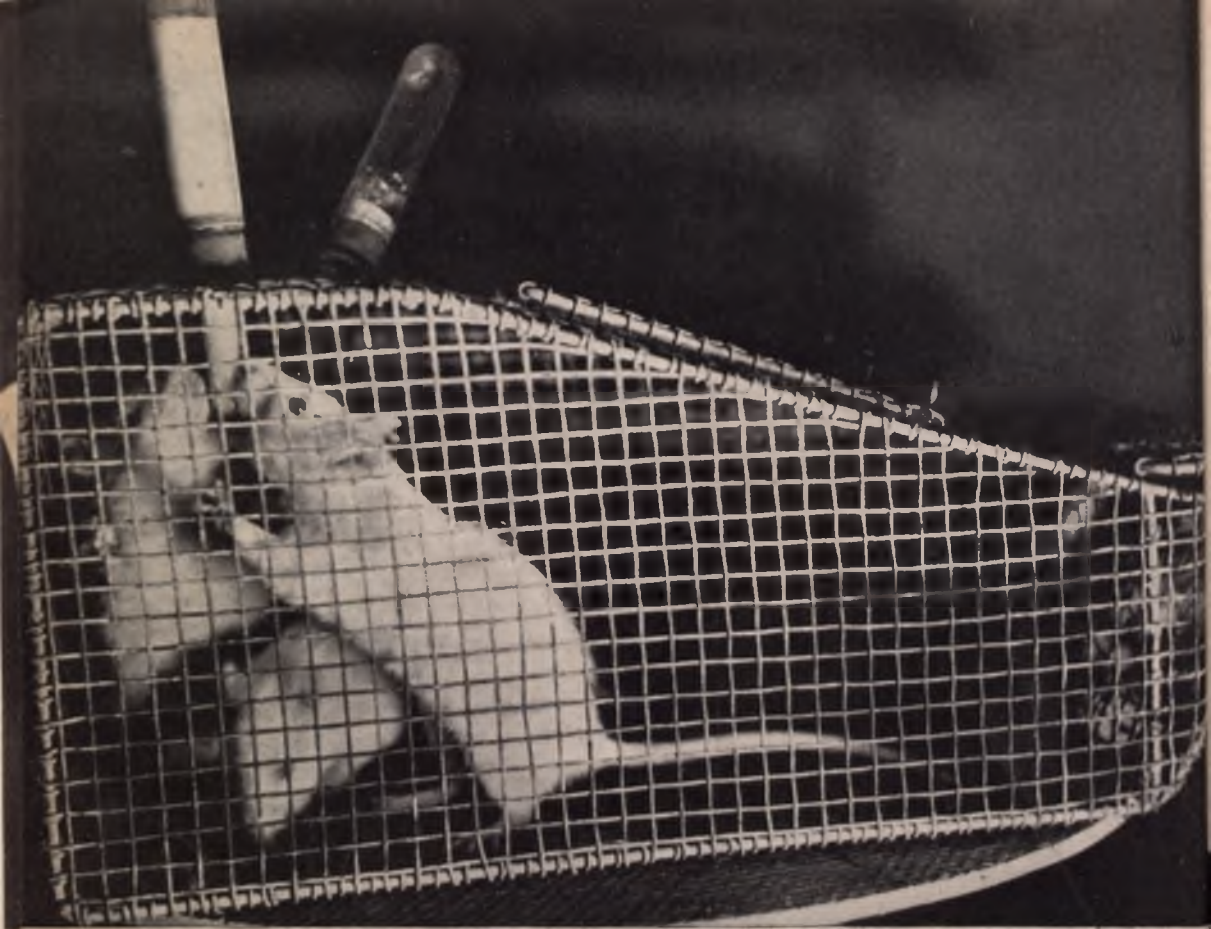




...w świetle badań

W cichym, otoczonym ogrodami i dolinami domu, w Instytucie Antropologicznym w Dahlem, rozpoczęto nową epokę w nauce o człowieku. Stare metody antropologii posługiwały się tysiącami cyfr, dat i faktów, w wyniku nie rozwiązując wielu pytań i problemów. Stary system zajmował się głównie ustalaniem zewnętrznych cech, wymiarami różnorodności kośćca poszczególnych ras ludzkich. Jeden z niemiec-

kich badaczy, pełen nowych idei, rozpoczął swą pracę, wprowadzając nową metodę, opartą na zupełnie odmiennych zasadach, niż te, jakimi się dotąd posługiwano. Zamiast ustalania *przeszłych* form, pracuje nad wynalezieniem podstaw, któreby doprowadziły do świadomego kształtowania *przyszłego* człowieka. Tym uczonym, posiadającym dzisiaj niemal że światową sławę, jest profesor Eugenjusz Fi-



Szczury, odżywiające się pokarmami obfitymi w witaminy, dostają słodkie mleko i sok z wątroby

scher. Jego metoda, doprowadzająca do wyjaśnienia przyczyn w różnicach budowy kośćca, jest jakgdyby odmłodzeniem tej gałęzi nauki. Dzięki niemu, nauka o dziedziczeniu i eugenicie teraz dopiero ma otrzymać odpowiedni i właściwy fundament naukowy.

Nie przesadzimy twierdząc, że Instytut Antropologiczny w Dahlem został właściwie stworzony w celu ułatwienia prof. Fischerowi jego prac naukowych. Tysiące preparatów zwierzęcych służy temu celowi. Nowe badania łączą ściśle ze sobą wpływ dziedziczności i działanie

witamin. Dane, przy badaniu człowieka, jego kości lub czaszki niewystarczające, udają się na zwierzętach doświadczalnych w stosunkowo bardzo krótkim czasie, przy pomocy łatwych środków. Naprzykład u szczurów, które się, jak wiadomo, bardzo szybko i licznie rozmnażają, można zupełnie łatwo, w przeciągu niewielu lat, na kilku szeregach generacji, ustalić dziedziczność i wpływ odżywiania. W hodowli szczurów doświadczalnych w Instytucie jedna trzecia zwierząt jest odżywiana skąpo, pożywienie drugiej części obfituje w witaminy,

a ostatnia grupa otrzymuje takie pożywienie, jakimi rozporządza w normalnych warunkach życia. Te trzy grupy są od siebie oddzielone, roentgenowane i po zabiciu preparowane. Tysiące odbitek roentgenowanych czaszek i kości jest do dyspozycji badacza, który rozporządzając tak dużym materiałem doświadczalnym, może ustalić dokładnie rozwój poszczególnych grup, różnorodnie odżywianych. Odpowiednio, wskutek braku lub nadmiaru witamin w pożywieniu, zachodzi zmiana w budowie ciała i kośćca. Rozwiązanie zagadki o krót-

kich i długich czaszkach jest o tyle łatwiejsze, że zwierzęta karmione ubogo w witaminy mają czaszki krótkie i na odwrót długie czaszki posiadają zwierzęta, których pożywienie obfitowało w witaminy.

Mimo tego jeszcze wiele okoliczności waży na szali: do dzisiejszego dnia pozostało tajemnicą dziedziczenie, środowisko, rasa i nieznane dotychczas środki odżywcze.

Asystent profesora Fischera, daje pierwszeństwo badaniom, przeprowadzanym na żywych obiektach i to na obiektach

Zwierzęta słabowite i chore są naświetlane





Każda czaszka otrzymuje numer, odpowiadający cyfrze, którą była oznaczona klatka zwierzęcia

ludzkich. W jednym z oddziałów Instytutu Antropologicznego przeprowadzają badania nad wpływem dziedziczenia na bliźniakach, stosując odmienne odżywianie. Aby być bliżej rozwiązania zagadki, jaką przedstawia dziedziczność, śledzą i analizują, bardzo często całe generacje — dziadków, rodziców i dzieci.

Na zwierzętach można robić doświadczenia na więcej niż trzech generacjach.

Szczury są jaknajstaranniej krzyżowane i matrikułowane. Przed roentgenowaniem narkotyzuje się je, aby obraz był możliwie wyraźny i ostry.

Nowe metody badania mają stać się podstawą dla zagadnień odżywiania, dziedziczenia i eugeniki, które skolei doprowadzą do ustalenia metod świadomego kształtowania fizycznego człowieka przyszłości.

L. C.

CIĘŻKA WODA

Przed niemal dwudziestu pięcioma wiekami atomiści greccy, z mędrcem z Abdery, Demokrytem na czele, głosili dziwny w owych czasach pogląd na budowę materji. Nauczali bowiem, iż składa się ona z atomów, niepodzielnych cząstek, trwających w nieustannym ruchu, które, poruszając się w przestrzeni, wytwarzają różne kształty i rodzaje ciał. Atomy te miały posiadać cechy wyłącznie ilościowe, a nie jakościowe, zaś ruch ich odbywał się w zupełnej próżni.

Filozoficzna nauka o atomach nie posunęła się naprzód przez długie stulecia, pozostając w granicach wiedzy spekulatywnej. Do nauki wprowadza ją dopiero Dalton w charakterze hipotezy w początkach ubiegłego wieku, w miarę jednak rozwoju teorii, pojęcie atomu hipotetycznego przekształca się na pojęcie atomu realnie istniejącego, jako elementarnej cząstki materji. W końcu tegoż stulecia okazała się potrzeba zarzucenia pierwotnego przekonania o niepodzielności atomu. Ostatecznie dziś wiemy, że materja składa się z molekuł, utworzonych z kilku, kilkudziesięciu lub nawet paru tysięcy atomów; każdy atom posiada jądro, wokoło którego krążą ładunki elektryczności ujemnej, zwane elektronami. Same jądro zbudowane jest z dodatnio naładowanych protonów i elektrycznie obojętnych neutronów. Odkrycie tych ostatnich miało miejsce przed niecałymi trzema laty, przedtem przypisywano jądro budowę inną, a mianowicie z dodatnich protonów i ujemnych elektronów.

Badania ostatnich piętnastu lat, (a przedewszystkiem fizyka angielskiego Astona), wykazały, że większość pierwiastków istnieje w dwu lub kilku odmianach o tych samych własnościach chemicznych i dużej liczbie tych samych własności fizycznych, lecz o różnej budowie jądra i zależnej od tego różnej wadze atomowej. I tak na przykład gaz neon o ciężarze atomowym 20,2 jest w rzeczywistości mieszaniną dwóch gazów, najzupełniej podobnych do siebie pod względem chemicznym i środkami chemicznymi nierozdzielnych. Jeden z nich posiada ciężar atomowy 20, drugi — istniejący w mniejszej ilości — 22. Mieszanina ich w stosunku 1 : 9 daje ciężar atomowy neonu 20,2.

W toku dalszych poszukiwań nowych izotopów różnych pierwiastków stwierdzono nieznana dotychczas izotopowość wodoru. Okazało się, że wódór o wadze atomowej 1,0078 nie jest gazem jednorodnym, lecz składa się z wodoru o wadze 1 i z bardzo nieznacznej domieszki izotopu o wadze atomowej 2, nazwanego diplogenem. Jądro atomu diplogenu, zwane diplonem, składa się z jednego protonu o ładunku dodatnim i z jednego elektrycznie obojętnego neutronu o tej samej mniejwięcej masie co proton.

Amerykański fizyk Lewis wydzielił diplogen w prawie czystym stanie, a w otrzymanej następnie wodzie przeszło 99% wodoru było nie zwykłym wodorem, lecz jego izotopem o wadze atomowej 2. Tak uzyskana „ciężka woda“ odznacza się całym szeregiem ciekawych właściwości. I tak gęstość jej jest o 11% większa od gęstości zwykłej wody, temperatura zamarzania przy normalnem ciśnieniu $+3,8^{\circ}$, temperatura wrzenia $101,4^{\circ}$ temperatura maksymalnej gęstości nie 4° lecz 11° C.

Okazało się przytem, że działanie „ciężkiej wody“ na organizmy żywe różni się znacznie od działania wody zwykłej. Ryby na przykład zdychają w niej natychmiast, prostsze zwierzęta żyją nieco dłużej, prędzej czy później jednak giną również.

Zwykły wódór można, ze względu na identyczne własności chemiczne, zastępować diplogenem nie tylko w wodzie, lecz i w innych związkach. Własności ich zmieniają się naogół bardzo nieznacznie, tem niemniej jednak zagadnienia nasuwane przez odkrycie diplonu stworzyły nowe pole poszukiwań dla współczesnej fizyki i chemji.

Z.

POW. KIELCE POW. OPATÓW



Manowry



Z. ZE (H.)



Zaklinacze wężów

Zawód zaklinacza wężów stary jest chyba jak ludzkość sama i, mimo postępów cywilizacji, nie zdaje się zaniżać. Związany jest z pewnem niebezpieczeństwem i nie daje specjalnych korzyści, jeśli sądzić według sposobu życia tych, którzy go wykonują. Ale ma ten walor, że schlebia miłości własnej zaklinaczy, gdyż otacza ich nimbem tajemniczości i obdarza w oczach ogółu władzami magicznymi. W rzeczywistości są to kapłani, co łatwo zrozumieć, gdy sobie uprzytomnimy, że wąż dziś jeszcze uchodzi za zwierzę święte i otaczane czcią, a pierwotnie był jednym z pierwszych bogów. Indje i Afryka północna, do naszych dni, są dwoma głównymi ogniskami tego dziwnego sposobu zarobkowania. Przedewszystkiem zajmujemy się afrykańskimi zaklinaczami, którzy są spadkobiercami tajemnej wiedzy Egiptu, a nawet posługują się temi samymi rodzajami wężów, co ich poprzednicy sprzed paru tysięcy lat.

Do uprawiania tego zawodu używa się żmiję, żyjącą w piasku, tak zwaną naję lub haję, która jest ową sławną *uraeus*, spotykaną niemal na wszystkich starożytnych płaskorzeźbach, a której płaska i szeroka głowa spada na czoła bogów i królów. Jest to ta sama żmija, od ukąszenia której zmarła Kleopatra i dlatego nazywa się ją często wężem Kleopatry.

Żmija ta ma dwa metry długości, ale wygląda groźnie, nie pokazując się nawet w całej swej okazałości. Może ona, dzięki swym potężnym mięśniom, rozszerzać dowolnie, pod wpływem podniecenia okolice szyi i rzędy pokrywających ją łusek, zupełnie tak samo jak kobra azjatycka. Podnoszą się one wówczas na podobieństwo pletw po obu stronach jej głowy. W czasie wypoczynku szyja zwierzęcia ma kształt cylindryczny i jest proporcjonalna do reszty ciała. Kolor naji ulega częstym zmianom, od barwy żółtej, poprzez różne

odcienie, aż do czarnej. Plamy rozłożone są w ten sposób, iż imitują siatkę mniej lub bardziej wyraźną. Powierzchnia brzuszna jaśniejsza jest od grzbietowej.

Żmiję tę, w wielu odmianach, spotyka się w krzakach lub wśród ruin, jak zresztą i w miejscach uprawnych, gdzie poluje na ptaki i małe ssaki. Jest rozpowszechniona w całej Afryce i, choć równie jadowita jak kobra, jest mniej od niej groźna dla człowieka, spowodowała mniejszej agresywności.

Żyje, jak większość węzów, w norach i stamtąd wylapywana jest przez zaklinaczy, którzy drażnią ją długim kijem, obwiązany na końcu szmatą. Żmija, broniąc się, chwytą zębami kij, a wtedy zaklinacz szybkim ruchem wyciąga go wraz z nią z nory. Przy chwytaniu w ten sposób gad najczęściej traci zęby, a znaczną część jadu wydziela na szmatę, tak, że staje się zupełnie nieszkodliwy. Tu trzeba stwierdzić, że najczęściej węże biorące udział w produkcjach są pozbawione zębów, a więc nie tak groźne, jakby się mogło wydawać. Istnieją

niewątpliwie zaklinacze, którzy posługują się węzami niepozbawionymi ich broni, ale należą oni do rzadkich wyjątków.

Ukąszenie żmiji jest śmiertelne, jeśli się nie zastosuje zaraz *serum*, produkowanego przez specjalny instytut — w przeciwnym razie następuje paraliż dróg oddechowych, mimo iż serce jeszcze pracuje kilka chwil. Ofiara umiera od uduszenia. Egipcscy zaklinacze twierdzą, że posiadają tajemniczą „władzę“, która im rzekomo zapewnia bezpieczeństwo. Oczywiście, że władzę tę mają dzięki takim środkom, jak opisane przed chwilą i im podobnym, które nie mają w sobie nic czarodziejskiego, wymagają natomiast tylko znajomości sposobu życia i zachowania się zwierzęcia. Nie ulega przytem wątpliwości, że większość zaklinaczy jest uodporniona na działanie jadu dzięki metodzie zupełnie bezpiecznej i prostej. Wybiera się zwierzęta bardzo młode lub też przeciwnie — osłabione już wiekiem i pozwala się gryźć, zachowując zresztą pewne środki ostrożności.



Wskazane jest również wybierać żmije najedzone, bądź też mające zrzucić skórę, doświadczenie bowiem wykazało, że trucizna jest znacznie więcej jadowita po zmianie skóry i po dłuższym poście. Dzięki tym zabiegom człowiek staje się częściowo niewrażliwy na ukąszenia, mimo że miejscami może być narażony nawet na bardzo bolesne nabrzmienia.

Poza *serum*, stosowaniem przez dzisiejszą medycynę, niema skutecznego leku na ukąszenie żmiji, lecz zaklinacze wciąż jeszcze sprzedają najrozmaitsze zioła i kamienie, jako cudownie działające środki. Czasem zaś stosują jeszcze dziwniejszy zabieg, polegający na tem, że żmiji, która ukąsiła człowieka, daje się do pogryzienia inne jakieś zwierzęta, co ma podobno „przez sympatję” wrócić zdrowie nieszczęśliwej ofierze. Jedyną naprawdę skuteczną ostrożnością jest nie dać się ukąsić. Trudno wszakże tego uniknąć, gdy się ma do czynienia z jednym lub więcej gadami, gdy się je oplątuje wokół ramion lub szyi i zmusza, zapewne wbrew ich woli, do różnych sztuk.

Trzeba przedewszystkiem chwytac węże delikatnie, w pewien specjalny sposób i w odpowiedniej chwili, tak, by to nie działało na nie drażniaco.

Sztuki z węzami odbywają się na placach publicznych, przy dużej liczbie widzów, których „czarownik” stara się ku sobie przynęcić nawoływaniami, muzyką i gestykulacją. Gdy wokoło utworzy się odpowiednio liczne zbiegowisko, a kwesta da wystarczającą sumę pieniędzy, zaklinacz stawia przed sobą koszyk lub worek, w którym zamknięta jest jego menażerka i rozpoczyna przejmującą grę na flecie. Czy węże rzeczywiście są wrażliwe na muzykę? Czy muzyka ma dla nich jakiś powab? Często stawiano te pytania, ale nie mamy na nie definitywnej odpowiedzi. Możliwe, że dźwięki muzyki zmuszają węże do pewnych ruchów — dużo osób w Egipcie lub Indjach widziało, jak „czarowano” dzikie węże dźwiękami muzyki. Ale z drugiej strony węże z ogrodów zoologicznych przeważnie nie są wrażliwe na dźwięk muzyczny.

Tak czy owak, wąż pod wpływem me-





lodji zaczyna się poruszać, poczem, przypelznawszy do człowieka, podnosi się spiralnie, wznosząc część górną swego ciała i, jeśli to jest naja, rozszerza nieco swój kaptur. W tej pozycji porusza się rytmicznie tak długo, jak długo trwa muzyka, wykonując „taniec“, dzięki któremu zaklinacze zdobyli swą sławę. Pod wpływem tego kołyszącego ruchu zwierzę popada jakby w odrętwienie, wykorzystywane dla pewnych sztuczek, wtedy bowiem człowiek włada gadem, bierze go w ręce, oplata nim swe czoło i szyję. Te czynności, mimo wrażenia, jakie wywołują, nie są niebezpieczne, wąż wie, iż nic mu nie zagraża, więc się też nie broni. Należy oczywiście dotykając nie ścisnąć, ani tem bardziej kaleczyć, tak by gad nie odczuwał, że jest uwięziony. Każdy może zrobić to doświadczenie z dowolną żmiją, nawet dziką. Wiadome jest, że żmija, czując niebezpieczeństwo, wydziela płyn o wstrętnym zapachu, którego nie wydziela, jeśli się ją dotyka rękami łagodnie i bez ucisku. Oprócz ukąszenia, żmije bronią się plując w twarz nieprzyjacielowi tak, że na południu Afry-

ki nazywa się je „wężami-plwaczami“. Płyn ten wraz ze śliną nie jest niebezpieczny dla skóry, lecz tylko dla oczu i może nawet, jak się zdaje, spowodować ślepotę.

Największy podziw wśród widzów budzi zazwyczaj scena, w której gad „żądłem“ dotyka warg zaklinacza. Rzeczome „żądło“ jest tylko rozdwójonym językiem żmiji, utożsamianym naogół z żądłem, którego żmije wcale nie posiadają. Wąż liże wówczas lekko słodką substancję, którą sobie zaklinacz posmarował ukradkiem usta. Widowiskiem najbardziej emocjonującym jest wyprężenie się węża, przez co upodobnia się on do kija. Widok ten przenosi nas w najodleglejsze czasy i przypominamy sobie urywki Biblii, gdy Aaron w oczach zdumionego Faraona przemienił w laskę trzymanego w rękach węża.

Zaklinacz osiąga ten efekt, dotykając pewnego określonego miejsca na karku gada, co powoduje u zwierzęcia pewien rodzaj chwilowego paraliżu, tak, że przez czas jakiś pozostaje sztywny, przypominając kawałek drzewa. Efekt

ten trwa kilka chwil i jest proporcjonalny do siły ucisku. Jest to sekret czarowników egipskich, przekazywany z pokolenia na pokolenie przez naukę czoteryczną, którą odziedziczyli dzisiejsi zaklinacze i która stanowi ciekawy przyczynek historyczny do ich wyjątkowego zawodu. Naje są gadami najczęściej pokazywanymi przez zaklinaczy egipskich. Na zachodzie Afryki naja jest zastąpiona innym gatunkiem, równie jadowitym, ale o wyglądzie mniej dekoracyjnym, nie posiadającym rozszerzającego się kaptura. Węże te są bardzo napastliwe i wzbudzają w człowieku lęk. Atakując, nie zwijają się spiralnie, jak inne naje, lecz zginają w podwójny sierp, w pośrodku którego kładą łeb i z tej pozycji mogą skoczyć bardzo daleko.

Dawniej, z okazji różnych świąt rytualnych, żonglerzy w napadzie fanatyzmu biegli poprzez tłum, rzucając nań pełnemi garściami żmij, które wyciągali bądź z kosza, bądź z worka. Zwyczaj ten przetrwał jeszcze u Indjan Vewajos, którzy, gdy władze amerykańskie nie wtrącają się, używają tego sposobu, jako niezawodnego środka na suszę, zagrożając ich zbiorom.

W Indiach bohaterką świąt jest kobra. Jest to też rodzaj naji, który różni się od niej swą bardziej rozszerzoną szyją i wyraźnie zaznaczonym na powierzchni grzbietowej rysunkiem „okularów“.

Zdaje się, że przyczyną unoszenia w górę łba i przedniej części tułowia jest lęk przed grożącymi uderzeniami, który zmusza kobrę do poruszania się w takt rąk żonglera, co czyni wrażenie posłusznego tańca, a jest w gruncie rzeczy unikaniem ciosów. Niebezpieczeństwo ukąszenia jest dość duże, gdyż wężom tym naogół nie usuwa się zębów. Często nawet w czasie widowiska zaklinacz pokazuje gadowi jakieś zwierzę, np. kurę, którą ten zagryza natychmiast na śmierć.

Pozatem cała ta ceremonia ma przebieg podobny jak i w Afryce.

Czasem jest skomplikowana walką węża z mangustem. Wiadomo, że ten mały ssak jest prawie niewrażliwy na działanie jadu, tak, że niemal zawsze wychodzi z walki zwycięsko. Ale trzeba dobrze zapłacić, by zaklinacz dla efektownej walki zechciał poświęcić swego dobrze wytresowanego gada.

delta es





OMYŁKA WE MGLE

Były to czasy wielkiej wojny. Trzykominowy „Emden“ pod dowództwem von Müllera szalał na wschodnich wodach indyjskich.

Ocean przed nami lśnił, jak autostrada po deszczu.

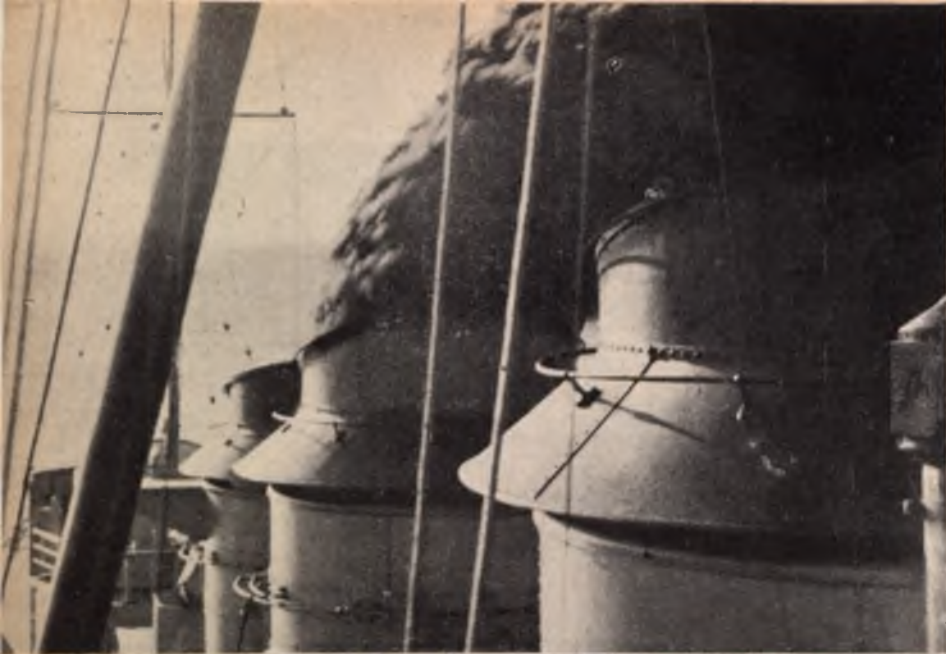
Prawie natychmiast po wynurzeniu się z wody słońca, które orzeźwione kąpielą, dziarsko wspinało się w górę, nadszedł meldunek z bocianiego gniazda:

— Wprost przed dziobem wyspa.

Wierna straż, dzielny kierownik ruchu na uczęszczanym zwykle szlaku — Minikoj, łaskawie nam się objawił. Ledwo zdążyliśmy odchylić kurs w prawo, na jakiś rumb, może niecałe dwa, kierując dziób na wjazd do znajomego już Kolombo, gdy niewinne świeżaczki — kłębki oparów zaczęły przebiegać tu i owdzie, jakby igrając pomię-

dzy sobą, muskając nas wilgotnym, powiewnym, niby pajęczyną, jedwabiem. Słońce zabrało się do rzetelnej pracy codziennej, lecz ocean, leniwie rozmazony po pieszczotach nocy podzwrotnikowej, naciągał na siebie mgławicowe prześcieradło, aby odwlec, chociażby na chwilę, brutalne zetknięcie się z bezwzględny światłodawcą i marzyć rozkosznie. Wpadliśmy i my pod ten gęsty welon, ale nie były to żarty...

Rosnąc i krzepnąc, smugi oparów traciły wszelkie swoje powaby. Marynarze twierdzą, iż Neptun dorwał się do porannej fajki i kurzy bez przerwy. Po minucie pierwszy dźwięk syreny rozdarł ciszę. Już nie widać „oka“ na dziobie, już znika jak klejnot, chroniony w watolinie — działo dziobowe. Syrena ryczy regularnie co minutę:



— „Vale, Naptun, navigatores te salutant!” — niegrzeczni, hałaśliwi nie szanują wypoczynku ojca wód.

Ciemnieje. Widoczność sięga najwyżej pięciu metrów. Telegraf maszynowy potwierdza zmniejszenie obrotów do szybkości „pół”. Nadmiar pary, której maszyny odmawiają wstępu, wydostając się z sykiem na wolne powietrze, snuje gęstą koronę nad kominami. Woda, przelewając się po dziobnicy, szmerze jak strumyk leśny, bulgocze nad śrubami, chwytając w tan wirowy nie-dołęzne, dolne ścieliska mgły.

Wzmocniono wachtę na dziobie. Trzy „oka” to więcej niż jedno. Na mostku ruszamy się poomacku — widmowe cienie na krążowniku.

— Kokosowy pech! — mruczy starszy szturman z rękami w kieszeniach. Jest długi i szczupły, wygląda jak roz-

warte nożyce, ostrzami wetknięte w pokład.

— Trzebaż na samym szlaku!

Pop nie lubi syreny (okrętowej) i stara się na rufie przekonać doktora, że w środku oceanu nie należy jej używać spowodu... święty spokój. Doktor łaskawie potakuje, wypychając wate do uszu... Nerwowy nastrój udziela się okrętowi — drży chwilami, na błyszczących od wilgoci burtach wystąpił zimny pot kroplisty, ześlizgujący się strumieniami wdół, zlizywany słonym pośladem goniących fal.

Pusto — żaden obcy dźwięk nie dzieli samotności naszego kontraktowego ze-wu, czy też ostrzeżenia.

— Tuzin umrzyków i butelka z trupią główką! Musicie być wdzięczni „Emdenowi”, zato, że hasa tu na rozstajnych drogach, inaczej nie pchalibyście się

półszybkością — biadował starszy mechanik, niebardzo pewny swych zdolności konstruktorskich na wypadek konieczności zatykania kąśliwych nowotworów, nadomiar jak zwykle — pod wodnicą.

— Od Minikoj 400 mil — na ósmą rano zanic nie zdążymy. Nie rozumiem tego pośpiechu? — prorokował nasz „najinteligentniejszy“, vulgo starszy smarownik jodyną.

— Ano! Pośpieszysz, ludzi naśmieszysz — zdobyła się na wyroczniejszą „osoba duchowna“. Parlamentaryzm był wtedy w rozkwicie...

Godziny... jedna, druga...

Daleki, ledwo dosłyszalny baryton zadźwięczał gdzieś w przestworzu.

Potrójne „oko“ klóci się: — „Z prawa! Nie, od lewej! Z boku! — Napięcie wzrasta, wszyscy wsłuchują się uważnie...

„Dryń, dryń — mała!“

Tymczasem niezmordowane słońce nie ustępuje — powoli, bardzo powoli opada zasłona. Bocianie gniazdo wynurza

się z szarugi i tnie mleczne złoza opadającej mgławicy. Jaśnieje.

— Dziesięć stopni na prawo od kursu syrenę słyszać! — wrzeszczą przez rurę głosową „bociany“.

— Czy widzicie kogo?

— Nikogo, ale słyszać dobrze!

— Uwaga! Czy mgła opada?

— Opada powoli!

— Dwadzieścia stopni w prawo wi-
dać maszty z rejami.

Potem rura przynosi oddźwięki kłótni, następnie zwykły początek wszelkiego porozumienia — wspomnienie matki i...

— Panie kapitanie! Kto w Boga wierzy — trzy dymy i trzy kominy!

— Szalejuście się najedli? Czy wam się w oczach nie troi czasami?

— Jak Boga kocham nie! Ot! Niepomniaszczyj¹⁾ to samo widzi!

— Na wszelki wypadek — zdecydował dowódca — zagrajcie „prawą bur-
tą“! Nie znam tu nikogo z trzema kominami — oprócz „Emdena“ oczywiście.

¹⁾ Pospolite nazwisko syberyjskie, wskutek ukrywanej tożsamości.



Trębacz nie dokończył sygnału — już obsługa dział była w robocie. Trzeci nasz alarm bojowy, a do trzech razy sztuka. Kanonierzy przeczuwają, że pociski tym razem wyjdą inną drogą i nie-
co szybciej.

Wtem, gdzieś wysoko, ponad masztami coś zagwizdało, zasyczało, furknęło i... zatraciło się we mgle...

— Strzelają do nas! — wrzasnęła rura głosowa.

— Postrasz-no ich pan także — zwrócił się dowódca do starszego artylerzysty.

— Trudno, pocisk wpadnie, jak karaluch do kubła z mlekiem, ale dajcie mi kąt kursu jaknajdokładniej!

— Trzydzieści prawy!

— Pierwszy działon! Odległość czterdzieści kabli! Kąt kursu trzydzieści pięć! Ogień salwami!

Buczek: — Baaah - am!... Bahm! Bahm!...

Trzy stopięćdziesiątki przygadały.

— Otwierajcie gęby, psiajuchy, bo ogłuchniecie.

— Zawraca! Chyba wieje! — drze się rura.

My na dole nie widzimy nic. Przeciwnik oczywiście to samo. Kierowanie ogniem prymitywne — przez „bocianów“...

Drugi pogwizd i syk podwójny. Dłu-

gie... Ale pociski lecą tak, jakby goniły już resztkami sił. A jesteśmy nie więcej jak trzy i pół mili od siebie. Po chwili dolatuje przygłuszony dźwięk strzału: „Pum! Pum!“...

— Czekajcie! — decyduje dowódca — szkoda narazie marnować pocisków, a ten jego kaliber jakoś nie przemawia mi do przekonania. Dwadzieścia stopni na kompasie w prawo! Maszyna — „cała“! Pójdziemy na zbliżenie.

Radjostacja melduje, że ktoś w pobliżu wzywa Kolombo, ale nie może nawiązać łączności.

— Mgła zaczyna mocno opadać, panie komendancie!

— Doskonale, zobaczymy, jak ten wesołek wygląda bez koszuli...

Pocziwe słońce pokonało ostatecznie swego przeciwnika. Mgła, jak pobity pies, płaszczyła się przed zwycięzcą, liżąc grzebienie fal.

— To duży kupiec! — zahuczała rura. — Ale ma trzy kominy i są armaty!

Dowódca bardzo zwięźle wyraził swoje rozczarowanie.

Teraz i my już mogliśmy dojrzeć swego widmowego ciemiężcę.

Dziarski „krążownik pomocniczy“ pod białą banderą Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanji skierował



na nas ponad tuzin lornetek i wiał w kierunku południowym.

Potężnie rozbudowana balja — statek pasażerski linii kanadyjskiej — prawdopodobnie patrolował kwadrat P 22 i zamierzał zniszczyć nas jako niespodziewanego, a właściwie niezapowiedzianego gościa. Ale my też umieliśmy kręcić maszynami! Przekonaliśmy się jednak, że „bandura“ (jak go natychmiast przeważa oburzona bezczelnością załoga) może wycisnąć do 20 węzłów. No, a my więcej! Mogliśmy już zidentyfikować bohatera; nazywał się „Empress of Asia“.

Dogadano się. Nie, nie trafiony, ale miał strachu! Tak, patrolował! Tak, w rozdzielniku sztabu R. I. N. Askold wskazany w okolicach Sejszelów. Nie, ilości kominów nie widział. Był przekonany, że przydybał Emdena, na szczęście depeszy nie zdążył nadać. Życzy powodzenia! Nieporozumienie proponuje liczyć za całkowicie zlikwidowane. Aha! Nie gadaj o tem, znaczy, gdzie nie trzeba! W Kolombo będzie jutro wieczór, gdyż kończy dyżur, a zastąpi go *sister ship*. Zaprasza na Canadian Club Whisky! *Bye, bye!*

Kopuła lanego złota, okolona gdzieś niedługo ultramaryną, cięży męcząco, lubieżnie trzymając w gorących objęciach nas i szmat morza przed nami.

Morze jakby okłęśło.

Powoli wsuwamy się do awanportu Kolombo. Kotwica spada, jak duża kropla potu z czoła przemęczonego wędrowca...

Pierwsza wiadomość, która sięga nas z lądu brzmi: „Emden niesławnie zmasakrowany wczoraj przez krążownik młodej marynarki australijskiej „Sydney“ pod wyspami Kokosowymi“...



— Australijska marynarka to to samo co Royal Navy, zapewnia brytyjski oficer łącznikowy.

Winszujemy Wielkiej Brytanji w jego osobie pozbycia się dokuczliwej zmory...

Na drugi dzień wspaniały welbot na wiosłach podleciał do nas i jakiś rozweselony *lieutenant-commander* biegiem zdobył trap, meldując, że jest przysłany ze sztabu podziękować mesie za życzenia. Wychyliwszy kilka ginów, marki „Wilcza Paszcza“, wykrzyknął:

— Hip! Hip! Honor jest całkowicie uratowany!

— „Wiemy, wiemy — Tsingtao i Emden...“

— Ależ nie o to chodzi! Rozumiecie, dzisiaj prasa stwierdziła, iż matka von Müllera była prawdziwą Angielką z Somersetu! Dlatego on jest taki dzielny i dziarski! Admirał oddał mu szablę!

Absolutnie nie mieliśmy zamiaru zbijać tych wywodów...

Brunon Dzimicz

OSSENDOWSKI W KRAJU NIEZNANYM

Dziwne i ciekawe są instynkty człowieka, które z poza obrębu świadomości, w pozor- nie niekonsekwentny sposób kierują jego po- stępowaniem. W momencie kiedy olbrzymi wysiłek cywilizacji skoncentrował się na ulep- szeniach codziennego bytowania i osiągnięciu maksymalnej wygody przez mechanizację i standaryzację życia, w wielu umysłach co- raz silniejsze budzi wzruszenia sentyment do prymitywności i dzikości. Człowiek dla któ- rego łazienka z ciepłą wodą, wygodny fotel i miękka pościel stały się nieodzowną potrze- bą lub najbliższym celem jego dążeń, nie może bez zdziwienia obserwować u siebie wstydliwego rojenia o innym, urokiem nie- dostępnosci otoczonem, życiu. Instynkty ja- kieś nakazują zmianę wrażeń, uzyskanie za wszelką cenę kontrastów do dzisiejszej i ju- trzejszej rzeczywistości. Marzenie o podró- żach, przypisywane dawniej jako kaprys wie- ku awanturniczym podrostkom, popularyzu- je się w niepokojący sposób u osób w wieku statecznym. Są to jednak najczęściej marze- nia, których lepiej nie konfrontować z ich materializacją. Wyobrażając się w roli boha- tera dzikiej przygody, uzyskujemy złudzenia wielkiej siły i odporności fizycznej; w rze- czywistości — już po kilkunastu godzinach jazdy w niezbyt wygodnym wagonie kolejo- wym — urojony bohater czuje się raczej ofia- rą i, jako najprzyjemniejszą przygodę, wyo- braża sobie powrót do „szarej codzienności“.

Dla zachowania miłych złudzeń, ko- rzystniej będzie pozostawić zdobywanie no- wych wrażeń w dżungli południowo-amery- kańskiej, w syberyjskich tajgach, czy afry-kańskim buszu ludziom lepiej do tej ciężkiej pracy uzdolnionym.

Polesie, o którym opowiada F. A. Ossen- dowski w swojej ostatniej książce, zawdzię- cza urok tajemniczej niedostępności. W prak- tyce niedostępność ta sprowadza się do dzie- siątków kilometrów, które trzeba przejechać trzęsącą biedką po wyboistych drogach i kla- waturach grobli z okrągłaków. O takiej drobnostce, jaką jest plaga komarów, znako- mity podróżnik, który ma poza sobą znajo- mość z egzotycznymi moskitami, nie wspo- mina nawet wcale. I dlatego czytelnik odnie- sie większą korzyść, eksploatując talent lite- racki autora książki o Polesiu, malujący je żywo i plastycznie na tle materiału nauko-



wego, niż gdyby sam próbował dotrzeć do wszystkich zakamarków kraju tysiąca błot.

Już Herodot pisał o morzu poleskiem, które prawdopodobnie było zbiorowiskiem istniejących tu jeszcze wielkich prajezior, rozlanych na nieprzepuszczalnym podłożu geologicznym, składającym się z płyty granitowej i osadów kredowych. W trzysta lat po nim Ptolomeusz wykreślił mapę Polesia z jego handlowym ośrodkiem, grodem Leinum, który można identyfikować z Pińskiem. Od tego czasu jeziora giną stopniowo pod narastającym kożuchem torfu, ale błota poleskie pozostają nieprzeniknione dla postępu cywilizacji i nie tracą nic ze swojej wartości strategicznej, jako nieprzebyta zapora dla działań wojennych.

W wilgotnym, łagodnym klimacie pleni się bujnie roślinna wegetacja, wody obfitują we wszelkie gatunki ryb i roją się od chmar ptactwa błotnego. Polesie, jako najslabiej zaludniony obszar Polski — 2 do 15 mieszkańców na km kw. — jest naturalnym zwierzyńcem, w którym żyją niespotykane już gdzieindziej gatunki zwierzyny. Zobaczyć tu jeszcze można widmowo przemijającą w gąszczu sylwetkę łosia, spotyka się rysie, bobry, gronostaje. Siłą konieczności poleszki trudni się głównie rybołówstwem, łowiectwem i pszczelarstwem. Ossendowski opowiada o ciężkim, prymitywnym życiu dzikiego człowieka lasu i wody, odnajdując w nim zadziwiające instynkty. Mówi o myśliwym, który od dzieciństwa tępi każde żywe stworzenie; znając najskrytsze sekrety puszczy, poluje przebiegle jak wilk poto, żeby zaspokoić głód; ale zachował bałwochwalczy kult dla tokującego głuszcza i przeżywa ekstazę najgłębszych, dostępnych mu wzruszeń, zachajony w porannym brzasku na skraju lasu.

„Nie kwapi się on oczami lub ruchem głowy wskazać zadyszanemu myśliwcowi tokującego głuszcza i dopiero wtedy, gdy niebo zaróżowieje od krańca do krańca, a pierwsze szkarłatno-złociste promienie słońca zapalą na piórach ptaka setki połysków i plam migotliwych, kiwnie głową i ni to ze smutkiem, ni to z żalem szepnie, nie patrząc na towarzysza, do którego w tej chwili czuje tylko pogardę:

— Hłuszec hraje tam ot, tamoczko na chwoi. Podskoczycie, panoczku“.

Cz.



B R A M A W S C H O D U

Bramą Wschodu jest Bukareszt, a raczej jego targowica i dzielnice zamieszkałe przez uboższą ludność. Sam bowiem Bukareszt, pomimo, iż robi wrażenie pięknej i młodej kobiety — jest zbyt zachodnio-europejski, a jego wspaniałe domy, najdroższych marek samochody i świetnie ubrane kobiety, nie odróżniają go niczem od innych stolic Europy.

Targowica w Bukareszcie — to inny świat, inni zupełnie ludzie. Ma się wrażenie, że po dziesięcio, czy piętnastominutowej podróży tramwajem przybyło się z Paryża do jakiegoś zapadłego miasta Bliskiego Wschodu.

Zwykła hałaśliwość ulicy rumuńskiej przeradza się tutaj w ogólny harmider, gdzie wszyscy kupcy i handlarze nawzajem usiłują się przekrzyczeć, przyciągając w ten sposób uwagę kupujących. Wąskie gardziele uliczek spływających

ku placowi targowicy wypełnione są najróżnorodniejszymi towarami, a olbrzymie kartony, na których wymalowano ogłoszenia sklepików i straganów, wybiegają daleko na jezdnię, zachwalając niskie ceny sprzedaży. Orientalnie uprzejmi kupcy wciągają siłą niewinnych przechodniów do ciemnych czeluści sklepów, demonstrując z zapalem swoje towary i częstując równocześnie znakomitą kawą.

Przybyszowi znajdującemu się na targowicy wydaje się, że wpadł w jakieś kołowisko. Żywa gestykulacja, wymachiwanie rękami, krzykliwe rozmowy każą przypuszczać, iż lada chwila wybuchnie jakaś bijatyka. Po bliższym przysłuchaniu się można zrozumieć, że chodzi tu o kilka, lub kilkanaście lei (1 leja=5 gr.) — jednym słowem normalne zjawisko targowania się.

Krzyki, przybijanie rąk na znak kup-

OWOCE

GARNKI





JARZYNY

na i kłótnie prowadzone są w gadłowo-spiewnym języku. Najgorętsze kłótnie odbywają się dobrotliwie i ze specyficznym humorem, właściwym południowym ludziom. Nie widać tu nigdy zapienionych wściekłością twarzy, choć przecież jesteśmy w kraju, gdzie południowe słońce porządnie dogrzewa i gdzie ludzie o bujnych temperamentach należą do większości.

Czasem tylko w jakimś ciasnym zaułku błysną krzywe — służące do krajania melonów i rozpruwania brzuchów podczas bitki — noże włóczęgów i oczajduszów, podobnych wielce do rosyjskich „żulików“, potem jest trochę krwi; gumowe pałki i gwizdki czekoladowo ubranych policjantów idą w ruch — i znowu jest spokój. Zazwyczaj — jak zresztą wszędzie — chodzi o kobietę, o spaloną na bronz, ciemną, o czarnych

KAWA

oczach i takichż włosach dziewczynę, do której dwóch podmiejskich „dominuil“ (panów) rości sobie prawa.

Gościnność i orjentalna uprzejmość kupców, czerwone fezy i szerokie, wełniane pasy Turków, względnie chłopów z Dobrudży, olbrzymia ilość owoców leżących całymi stosami na straganach o każdej porze roku — każą nam przypuszczać, że jesteśmy w Istambule — skąd srogim ukazem Kemal-Paszy zarówno czerwone fezy, jak i czarne „czarczafy“ kobiet zostały wygnane. Nastrój egzotyczny potęguje łopocąca na wietrze, niczem różnokolorowe sztandary, susząca się na płaskich dachach bielizna, wywołująca wspomnienia o dalekiej, śródziemnomorskiej Genui.

Sama targowica, będąca jednym, olbrzymim placem, tonie w owocach, kwiatkach (już od pierwszych dni wiosny),



KWIATY

i półciach mięsa. Dalej rozkładają się ze swym kruchym towarem garnearze, szewcy, wędrowni krawcy i sprzedawcy czapek i fezów. Wśród straganów krążą uliczni sprzedawcy, noszący na drewnianych pałakach, podobnych kształtem do „hołobli“, rosyjskich wózków, kosze jarzyn, względnie „patiu“—ciastka i kubki zsiadłego mleka.

Największy jednak popyt ma uliczny sprzedawca czarnej kawy, noszący całą swoją „kafanę“ (kawiarnię) w postaci mosiężnego, wysokiego naczynia na swoich własnych plecach. Kawiarz co chwila sprzedaje czarękę aromatycznego napoju. Takiej kawy, jak u chodzącego kawiarza, nie dostanie się nawet w najwytworniejszej kawiarni, któregośkolwiek z miast Zachodu.

Kwiaty, całe snopy kwiatów wszystkich rodzajów i barw, stwarzających orgję

CIASTKA

zapachów widzi się nie tylko tu, na targowicy, lecz również i na wszystkich ulicach śródmieścia. Dzięki swym niskim cenom i cudownym gatunkom są niemal codzienną potrzebą życia. Toteż widzi się tu mężczyźni i kobiety kupujących w olbrzymich ilościach najprzeróżniejsze, nieznanne nam kwiaty.

W tym drugim, prawdziwie orientalnym Bukareszcie brakuje jeszcze meczetów i wysmukłych iglic minaretów, skądby rozpląkanym głosem muzzeininów mogli obwieszczać na wszystkie cztery strony świata sławę Proroka.

Niebieski tramwaj wyrwa nas z tej dzielnicy handlu, zaopatrującej olbrzymie miasto Bukareszt we wszystkie artykuły spożywcze. Po 12-minutowej jeździe wracamy do Europy, żegnając się z czarownym Wschodem.

J. Radziwiński



ot. Paramount

George Raft



I. Ilf i E. Pietrow

O włos od śmierci

Mało gdzie pracują indywidualnie. Większość rozumiała, że dwie głowy zawsze znaczą więcej niż jedna. Dlatego, gdy redakcji poważnego miesięcznika „Rękodzielnik Neuropatolog” potrzebny był artykuł o psychiatrycznej lecznicy, wysłano tam nie jednego dziennikarza, a odrazu dwóch — Prisiagina i Dziewoczkin. Spoglądając kolejno na niepokojnego Prisiagina i na okrągły, jak globus brzuch Dziewoczkin, sekretarz „Neuro-Rękodzielnika” uprzedzał:

— Mieście na uwadze, że nie będziecie mówić z ludźmi, których moglibyście bezkarnie nudzić. W lecznicy im. prof. Titanuszkina należy być bardzo ostrożnym. Chorzy, sami rozumiecie, ludzie nerwowi, rzec można — warjaci. Są pośród nich niebezpieczni, którzy się łatwo denerwują. Nie sprzeciwiajcie się im, a wszystko pójdzie dobrze.

Omówiwszy charakter reportażu Dziewoczkin i Prisiagin natychmiast wyruszyli spełnić polecenie.

Na okrągłym, jak talerz, placu dziennikarze zapytali policjanta o dalszą drogę.

— Prosto, potem na lewo, w zaułek. Tam są tylko dwa wielkie budynki. W jednym z nich mieści się lecznica.

— Strach mnie ogarnia — przyznał się Prisiagin, gdy przyjaciele zbliżali się do celu. — A jeżeli na nas napadną?

— Nie napadną — rozsądnie odrzekł Dziewoczkin. — Ty ich tylko nie nudź. Już nieraz bywałem w domach warjatów. Nic strasznego, tembardziej, że teraz ich nie krępują. Warjatom wolno zajmować się każdą pracą. Zresztą będę cię objaśniał.

W tym czasie na kamienny ganek szarego domu z piskiem wytoczył się bardzo zdenerwowany i rozstro-

jony obywatel. Rękawem marynarki wycierał spoconą twarz.

— Bądźcie uprzejmi, powiedzcie — błagalnym głosem zapytał Dziewoczkina, czy to dom warjatów?

— Co? — zawył obywatel. — Naturalnie, dom warjatów.

I wymachując teczką uciekł, mrucząc coś pod nosem.

Przyjaciele, bezmyślnie pokastlując, wstąpili na cementowe płyty westibulu. Odźwierny mówił coś jakiejś kobiecie z tacą, prawdopodobnie pielęgniarce:

— Nasz nowy? Szalony! Jak rozpoczął dziś o dziewiątej awantury, tak nie można go uspokoić. Jedno słowo — psych! Patrykijew do niego i tak i siak — i nic. Uparł się na swoim. „Wszystkich — mówi — powyganiam. Naczelnik ja, czy nie naczelnik?”

— Herbatę mu nosiłam — smętnie rzekła pielęgniarka. — Nie pije. Zakrętały jakieś wywodzi.



— Z pewnością niebezpieczny egzemplarz — szepnął Prisiaginowi doświadczony Dziewoczkina.

— Może wrócimy? — tchórzliwie wyszeptał Prisiagin.

Dziewoczkina z pogardą spojrzął na kolegę i zapytał woźnego:

— Gdzie można dostać przepustkę do gmachu?

— Jaka przepustka? — surowo rzekł woźny. — U nas wstęp wolny.

— Jak widzisz — rozgadał się Dziewoczkina, gdy przyjaciele wchodzili po schodach — zupełnie nowy system leczenia. Nic nazewnątrż nie przypomina domu warjatów. Wejście wolne. Lekarze nie noszą kitlów. I nawet chorzy bez kitlów. Kiteł przygniata chorego, wywołując depresję.

Już w pierwszym pokoju dziennikarze zobaczyli warjata. Był to człowiek lat około sześćdziesięciu. Siedział za wielkim stołem i szaleńczo liczył na liczydło, okutem miedzią. Przyspiewując sobie przytem na jakąś cerkiewną melodję dziwne słowa: „Awans my otrzymamy, otrzymamy, otrzymamy”.

— Tego lepiej nie ruszać — powiedział ostrożny Prisiagin. — Trzaśnie po łbie liczydłem, a potem go szukaj.

— Tchórz z ciebie, Wasia — odrzekł Dziewoczkina — przecież spokojny. Inaczej nie dałoby mu liczydła. Schizofrenik.

Lecz zobaczywszy, że kosze do śmieci przykute są łańcuchem do ściany, zbłądł i zdaleka obszedł chorego.

— Djabli wiedzą! Może biją się koszami.

— Najpewniej. Dlatego kosze przykute.

Łącząc się w drzwiach, przyjaciele szybko wypelnili się do długiego korytarza. Tam nienormalni spacerowali parami, jedząc olbrzymie sznytki.

— Ci są spokojni — odetchnąwszy z ulgą rzekł Prisiagin. — Posłuchajmy o czem mówią.

— Przypuszczalnie nie ciekawego — autorytatywnie wyrzekł Dziewoczkina. — Jakiś lekki rozstrój nerwowy, lub inne głupstwo.

Gdy jednak, do ucha Dziewoczkina doleciało: — „On ze mnie wszystkie żyły wyciągnął“ — dziennikarz zaczął się uważniej przysłuchiwać.

— Wszystkie żyły — mówił jeden chory drugiemu. — On się mnie czepia. Chce mnie do grobu wpędzić. A dlaczego — niewiadomo. I taka tęsknota mnie ogarnia, że chce się jaknajdalej być od tego domu warjatów. Gdzieś na południu, na południowym brzegu.

— Przeciwno mnie są intrygi — basem przerwał drugi. — Małorosyjski chce mnie zepchnąć. I każdego rana słyszę, jak w korytarzu powtarzają moje nazwisko. Ale zobaczmy kto kogo! Łobuz!

— Zwróć uwagę — szepnął Dziewoczkina. — Typowa manja prześladowcza.

— Strasznie się boję — stęknął Prisiagin. — Wiesz, to otoczenie mnie przynęca!

— Jeszcze nie to będzie! — zapewniał bohaterki Dziewoczkina.

— Wejźmy do tego pokoju numer szesnaście. Tam siedzi tylko jeden warjat. Jeśli się rzuci, potrafimy go skępować.

W dużym pokoju, pod plakatem „Nie zadawajcie zbytecznych pytań“ siedział człowiek o niespokojnych oczach w długiej, niebieskiej bluzie.

— Do kogo? — z wściekłością wrzasnął chory.

— Czy mogę się u was dowiedzieć... — zaczął przestraszony Dziewoczkina.

— Milcz — szepnął Prisiagin, wpiwszy się w rękę przyjaciela. — Widzisz przecież, że nie wolno zadawać zbytecznych pytań!

— Czegoż milczycie? — zapytał chory, mięknięc. — Przecież was chyba nie ugryzę.

„To jeszcze niewiadomo“ — pomyślał Dziewoczkina. — „Najpewniej właśnie ugryziesz“.

— Kogoż wreszcie szukacie? — ryknął warjat. — Jeśli potrzebujecie naczkanca, to jestem ja, Patrykijew. Jestem naczelnikiem kancelarii. Słucham was. Siadajcie, będzie mi bardzo miło.

— W-wa-wa-wa! — wyjąkał Prisiagin zerkając na drzwi.

— Błagam was nie denerwujcie się — zaczął Dziewoczkina. — Tak, tak, rzeczywiście jesteście naczelnikiem kancelarii.

Chory jednak denerwował się coraz bardziej. Z czerwoną od gniewu twarzą, wykrzyknął:

— Jeśli przysłiszcie do zajętego człowieka...

— Uciekajmy! — krzyknął Prisiagin.

W tej chwili z sąsiedniego pokoju, nad drzwiami którego wisiała tabliczka: „A. F. Imieninski“ rozległ się mrozący krew w żyłach krzyk.

Otworzyły się drzwi i z pokoju wyskoczył nowy chory.

— Tysiąc razy wam powtarzałem — krzyczał na chorego, zważającego się Patrykijewem — żeby maszyny hyle komu nie dawać. Mam jechać, a maszyny niema!

— Uciekajmy! — powtórzył Prisiagin, porywając za sobą Dziewoczkina.

Stylu dochodził ich nieprzytomny krzyk:



— Ja na letnisko, a maszyny niema!

Stoczywszy się po schodach, półprzytomni ze strachu, dziennikarze usiedli na ławeczce.

— No, no! — powiedział Prysiagin łapiąc oddech. — Zabij mnie, a drugi raz do domu warjatów nie pójdę. Pomyśl, byliśmy o włos od śmierci!

— O tem wiedziałem — odrzekł nieustraszony Dziewoczkina. — Ale nie chciałem ci przedtem mówić, nie chciałem straszyć.

Zegar w przedpokoju wybił czwartą i ze schodów, natychmiast, jak stado bawołów, zbiegli chorzy z teczkami. Pchając jeden drugiego, rzucili się do wieszaków.

Dziewoczkina i Prysiagin w strachu przycisnęli się do ściany. Gdy chorzy wybiegli na ulicę, Dziewoczkina odetchnął z ulgą i rzekł:

— Na spacer poszli. Wspaniały porządek!

Na ulicy przyjaciele zobaczyli szyld, na który nie zwrócili uwagi przy wejściu:

SILOSTAN TRUST APARATÓW SILOSOWYCH

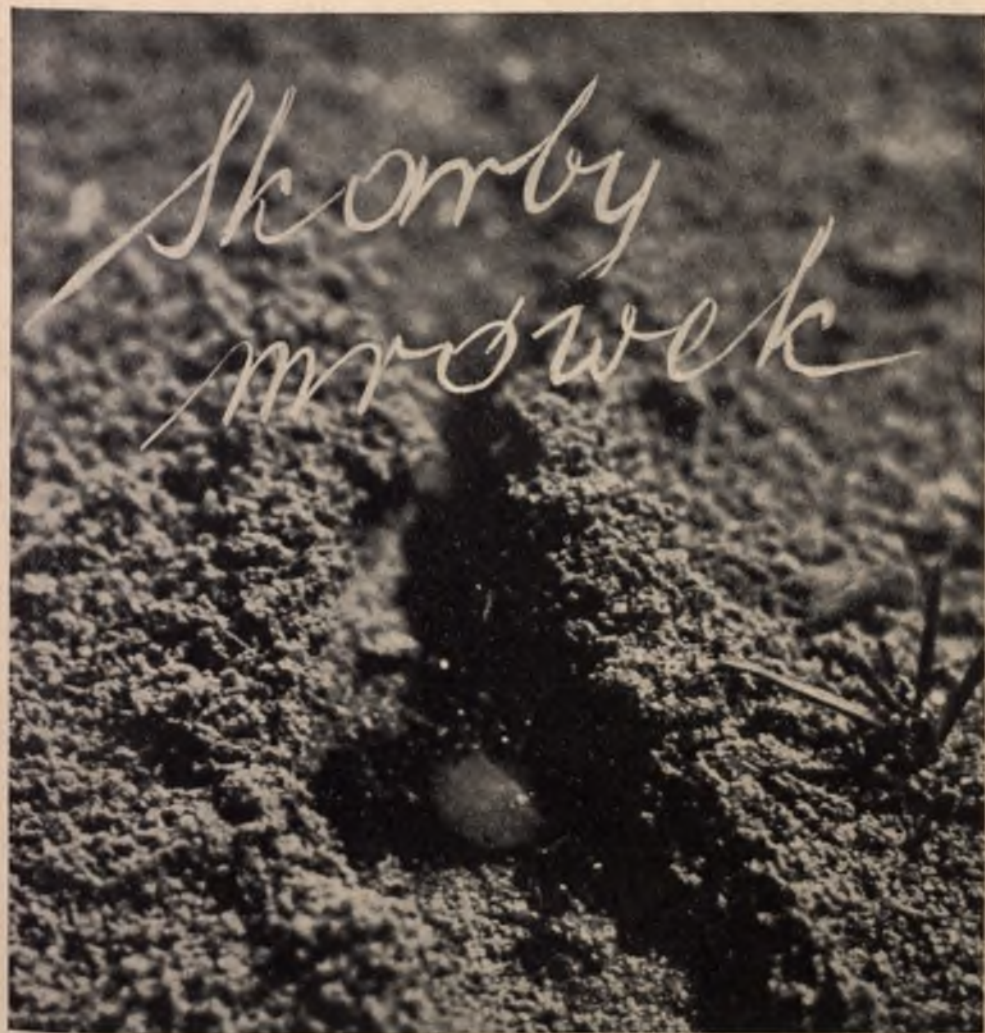
Ponieważ było już późno, a reportaż trzeba było napisać tegoż dnia, więc przyjaciele szczerze opisali wszystko co widzieli pod tytułem: „W świecie umysłowo chorych“.

Artykuł został wydrukowany wywołując ogólne uznanie.

„Jak przyjemnie“ — pisał do redakcji słynny psychjatra, prof. Titanuszkina — „czytać artykuł, w którym tak wyczerpująco i prawdziwie opisano zwyczaje nerwowo chorych“.

Tłum. I. L.





Corocznie tysiące ludzi robi wycieczki do Garden of the Gods (Ogród Bogów) w stanie Colorado. Stają pełni podziwu i grozy przed skalistymi urwiskami, ostre iglicami ognisto-czerwonymi, sterczącymi ku błękitnym niebiosom; zachwycają się dziwnymi i fantastycznymi skałami, kształtem swym przypominającymi jakichś mitologicznych bogów, w dziwacznych nakryciach głów, z dzierytami i lancami w rękach — wśród potężnych wieżyc, jakby katedr, świątyń i monumentalnych gmachów z czerwonego piaskowca.

W głębokich wnętrzach tych skał, w miastach i osiedlach, do których nie przenika nigdy promień światła, żyją stworzenia dziwne — żółto-głowe, o wielkich, rozdętych, przezroczystych tułowach; stworzenia, które bezsprzecznie są istotami najwięcej poświęcającymi się dla swych bliźnich ze wszystkich stworzeń, żyjących na ziemi.

W bajkach dla dzieci czarownice odkarmiają małych chłopców i dziewczynki poto, aby je potem zjadać z wielkim apetytem. U istot, które żyją we wnętrznościach skał Ogródu Bogów, dzieci są



wykarmiane tak, aby przybrały potworne, do ostateczności wielkie kształty i służyły swoim siostrze, braciom i krewnym za żywe składnice pożywienia. Dziwnym a niezwykłym tym ludem są pewnego gatunku mrówki, zwane w Ameryce „miodowemi“. Razem z amerykańskim przyrodnikiem, dr. Henry C. Mc Cook, pójdziemy by przyjrzeć się bliżej tym osobliwym stworzeniom.

Wśród skał, kęp ostrej trawy i dzikich słoneczników, sterczą nieduże pagórki z czerwonego piaskowca i barwnego kwarcu, podobne do małych kraterów, z niewielkim otworkiem pośrodku. Od otworu biegnie w głąb pionowy kanał, na kilkustopniowej głębokości zagina się ostro w bok i tworzy obszerną, długą galerję, z której rozechodzi się labirynt boczných, mniejszych. U końców tych galeryj, znajdują się liczne „piwnice-składy win“, będące jednocześnie mauzoleami żywych nieboszczyków.

O ile przepuszczą nas strażę, o wielkich głowach, uzbrojonych w potężne szczęki, roztawione niedaleko otworu wejściowego, zapuścimy się w głów-

ną galerję i skręcimy w pierwszą lepszą bocznicę, pogrążoną w nieprzeniknionych ciemnościach. Napotykamy szeregi robotników, pilnie zajętych usuwaniem i wynoszeniem w pyszczkach i łapkach ziarenek i okruszyn kwarcu i piasku i polerowaniem do gładkości lustra, ścian, sufitu i podłogi galerji.

Nagle jeden z robotników zatrzymał się by wytehnąć trochę, przeciągnął się i raptem poczuł przyjemny, znany zapach, zalatujący skądś. „Musi być niedaleko winiarnia“ — pomyślał — trzeba by poszukać, warto by się nieco pokrzepić“. Porzuca robotę i zapuszcza się w atramentowo czarną uliczkę. Coraz silniejszy aromat wskazuje mu drogę, i trafia wreszcie do celu. Wchodzi do obszernego sklepionego lochu, w którym od kopuły bije dziwny, mdły, jakby fosforyczny blask. Całe sklepienie zawieszono jest dziesiątkami wielkich, kulistych, jakby z przezroczystego bursztynu, lamp, wiszących ciasno, tuż przy sobie.

Nie są to jednak lampy. Kule te błyszczą bładem, złotem światłem, żyjącem

w słodkim, złotym nektarze, znajdującym się w ich wnętrzu. Lampy te nie są niczem innym, jak do potwornych rozmiarów rozdętymi ciałami żyjących mrówek, napełnionych, słodkim miodem, uczepionych szczękami i przednimi łapkami do nierówności sklepienia. Wiszą one tak dziesiątkami, w setkach komór, nad lustrzano gładką podłogą grotu, odbijającą wydawany przez nie blask. Poruszają bezsilnie łapkami, sterczącymi na rozdętym cieple, od czasu do czasu zwracają główki i wydają leciutki szelest, tak jakby mówiły do sąsiadki: „Nie opieraj się o mnie tak silnie, bo mię rozgnieciiesz“.

Nagle w otworze-drzwiach, wdole, ukazał się ów robotnik, co przyszedł „na jednego“. Zbliżył się do wiszącej, żywej barylki z miodem i dotyka czułkami swemi jej kurka — zamkniętego pyszczka. Znaczy to — „Proszę o jedną lampkę miodu“. Natychmiast barylka otwiera kurek i z pyszczka swego nalewa bursztynową kroplę nektaru do nadstawionego pyszczka gościa. Ten chciwie konsumuje, potem prosi o drugą lamp-

kę, trzecią i wreszcie, zaspokoiwszy pragnienie, czułkami dotyka żywą barylkę — „Dziękuję, już dosyć“ — na co ta natychmiast „zakręca kurek“ przybysz odchodzi, a ona wisi dalej i czeka na nowego gościa. I tak wisi miesiące, lata, całe swe życie, nie znając nigdy wypoczynku ani radości, czy smutków mrówczego żywota.

Miód ten, prześlicznego bursztynowego koloru i o silnym miłym aromacie, nie jest pochodzenia kwiatowego. Opisywany gatunek mrówek zbiera go — zawsze nocą, gdyż światło słoneczne zabija je w ciągu 2—3 minut — ze znanych orzeszków galasowych, wytwarzanych przez owady, zwane galasówkami, na dębach. Młoda galasówka rozwija się w komórce wewnątrz orzeszka i gdy jest jeszcze bardzo młoda, cały orzeszek jest żywego, purpurowego lub błękitnego koloru. Gdy galasówka już wypełza nazewnątrz swego dzieciennego pokoju, orzeszek zawiera słodki nektar-miód, który zbierają mrówki. Obładowane nim, wracają do domu, schodzą do piwnic i tam napełniają swe żywe barylki, w ten



sam sposób, jak było opisane przy korzystaniu z nich; tylko role są wtedy zmienione.

Pszczoły, wracając z nektarem kwiatowym do ula, zlewają przyniesione krople do specjalnego zbiornika blisko wejścia, skąd po ochłodzeniu i odparowaniu wody, miód zostaje złożony do woskowych komórek w plastrach. Mrówki nie mając zdolności ustrojowej do wytwarzania wosku i nie mogąc budować komórek, używają na zbiorniki swoich krewnych. Nieszczęśliwe te stworzenia, którym taki los przeznaczono, już od pierwszych dni dzieciństwa są odkarmiane forsownie i nadmiernie tak, aby doszły do rozmiarów 8—10 razy większych od normalnych; poczem zostają zaprowadzone do swego mauzoleum za życia. Wiszą tam posłusznie, spełniając, swe obowiązki, tracąc stopniowo ochotę do poruszania się i do korzystania z powierzonych im zapasów trunku. Posiadają one dwa żołądki — jeden na własny użytek, a drugi publiczny. Nie nadużywają jednak położonego w nich zaufania i prócz paru kropelek, niezbędnych dla utrzymania sił, cały zapas chowają sumiennie w swym wielkim drugim żołądku, na użytek ogólny. Regularnie, co jakiś czas, pojawiają się delegowane partje robotników, które doprowadzają do idealnej czystości całą winiarnię i żywe beczułki, aby były utrzymane zawsze sucho, czysto i należycie pod względem sanitarnym.

Czasami łapki słabszej beczułki zmęczą się tak, że nie zdołają już trzymać jej i pada bezradnie na podłogę groty. Mogłaby leżeć tak do śmierci, gdyż sama nie zdoła podnieść się. Robią to robotnicy, przybiegający niezwłocznie na odgłos upadku. Gorzej jednak bywa gdy napełniona do ostatecznych granic pa-

dając pęka i cenny nektar rozlewa się na podłogę. Zwabieni upadkiem i aromatem rozlanego miodu robotnicy zbiegają się pośpiesznie i przedewszystkiem rzucają do konsumowania trunku. Szybko jednak szlachetniejsze uczucia społeczne biorą w nich górę i resztę dolewają do niepełnych beczulek.

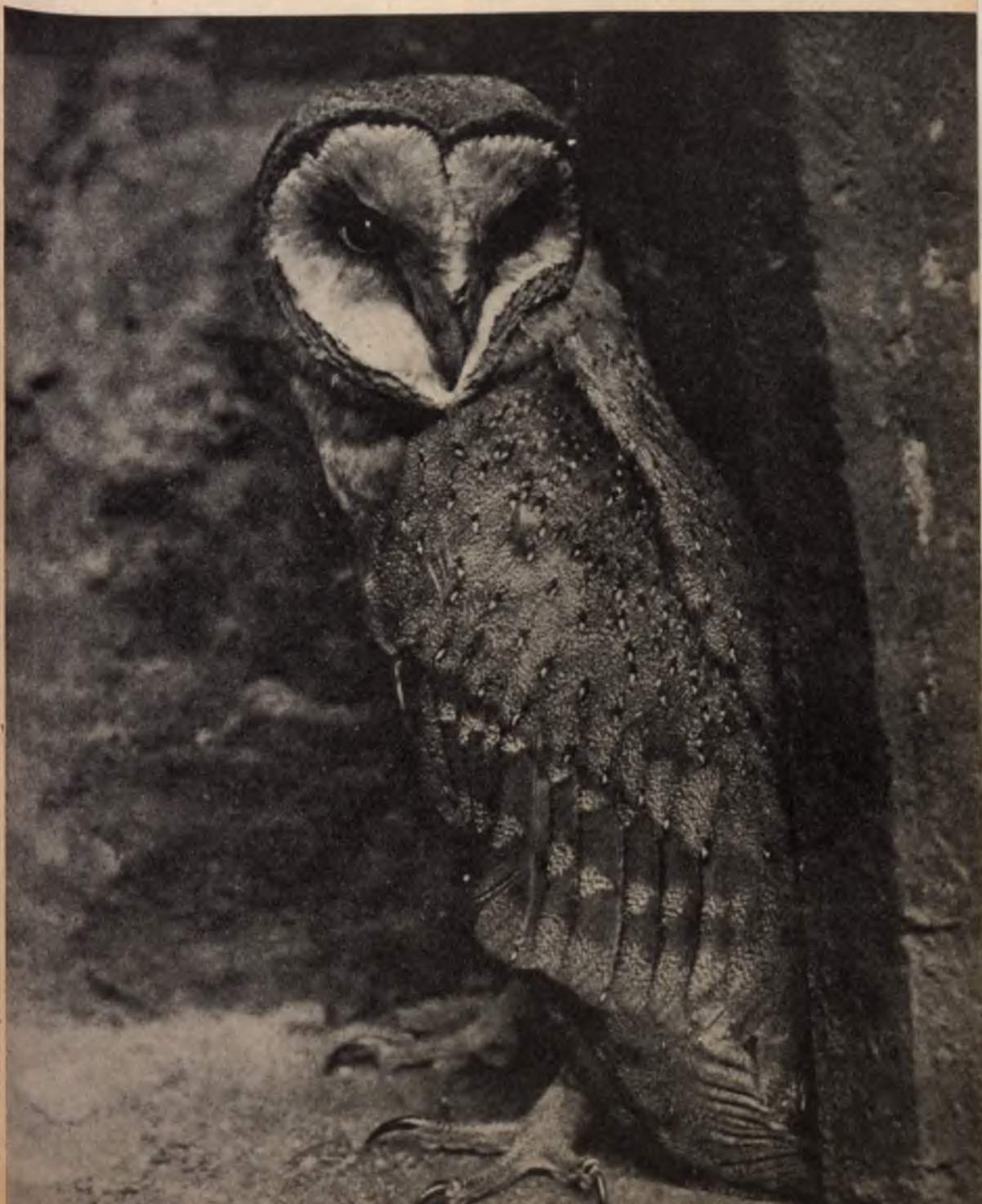
Żywe antalki nie mogą żyć wiecznie. Pewnego dnia zjawia się spragniony robotnik, prosi zwykłym znakiem o lampkę — kurek beczułki nie otwiera się. Nieposłuszeństwo? Strajk?... Zjawiają się inni, próbują. I wreszcie smutna prawda przenika do ich umysłów — beczułka zakończyła swój żywot. Najważniejszą rzeczą jest pochowanie samego żołądka-zbiornika, pełnego miodu; ponieważ — niezmiennie charakterystyczne — mrówki nigdy nie korzystają z miodu zawartego w nieżywym osobniku.

Pogrzeb odbywa się uroczystie. Najprzód jedno energiczne cięcie mocnych szczęk w najwęższym miejscu tułowia zmarłego, oddziela zbiornik od reszty ciała. Rzesza żałobników i grabarzy otacza „zmarły“ balonik i powoli, uroczystie — toczy go korytarzami długo, daleko — na cmentarz — do specjalnej obszernej, ciemnej groty i tam składa na wieczny spoczynek obok szeregów innych, dawniej zmarłych baloników. Po umieszczeniu balonika zostają podobno przyniesione pozostałe części ciała zmarłego i ułożone obok niego w przybytku wiecznego odpoczynku.

Krajowcy w Meksyku odkopują gniazda tych mrówek, wybierają żywe beczułki, wyciskają z nich miód, który poddają pewnej fermentacji i przetwarzają na napój alkoholowy, dostarczając sobie w ten sposób przyjemności, których nie znają mrówki.

Inż. Z. Chelmoński

Fot. Fischer





„Corrida de la Prensa”

Nie można będąc w Hiszpanji nie pójść na walkę byków. A Majorka — to przecież Hiszpanja! Tylko broń Boże nie trzeba tego mówić krajowcom, bo wyprostują się dumnie ze słowami:

— *No, senora. No somos espanoles, somos Mallorquinos!*

Więc czyhałam na *Corrida* w Palmie. Niestety, zobaczyłam tylko *novillada*, a to nie to samo. Nie było koni, *novilleros* to nie są *toreros*, wolno im tylko zabijać byczki poniżej trzech lat — jednym słowem, nie mogłam z czystym sercem powiedzieć, że byłam na porządnej, prawdziwej walce byków.

Siedząc w *Cala Ratjada* wyczytałam, że następnej niedzieli odbywa się w Palmie *Corrida Prasy*. Mój sąsiad w hotelu, plantator cukru z *Porto-Rico* objaśniał mnie z zapamiętem, że to najlepsza *Corrida* sezonu. I co za siły! *Lalanda* —

najsłynniejszy *torero*, bożyszcze Hiszpanji. I *Carnicerito de Mejico*, który byki traktuje jakby to były psy albo koty.

Pedro de Porto-Rico oświadczył, że jedzie. Ubrał się w biały garnitur, na głowie *canotier*, w ustach cygaro — prawdziwy antylski plantator! Znalazła się w hotelu jeszcze pewna Szwajcarka z dziećmi, ciekawa „krwawej areny”. Wynajęliśmy na spółkę samochód i jecha! — Srebrne gąszenie oliwek, wirujące koła wiatraków. Na trotuarach krzesła i bujające fotele, w kawiarniach pełno popielatych garniturów. Na Majorce wszyscy mężczyźni, bez różnicy wieku i stanu, chodzą na popielato, a każdy najbiedniejszy człowiek ma tuzin krzeseł lub bujających foteli.

Palmy były szare od kurzu, upał, niebo nieskalanie błękitne. Tramwaje z napisem *Toros* przepelnione, pielgrzymi

zwisali ze schodków, jak winogrona. Ulice puste, zalane słońcem, a przed Coliseo Balear — tłumy ludzi i starych samochodów. Guardia Civil strażowała na koniach, a sam budynek sprawiał wrażenie olbrzymiego mrowiska.

Pedro gdzieś zniknął, a szwajcarska rodzina była zaniepokojona. Tyle schodów, tyle galeryj! A jeżeli to rzeczywiście będzie straszne? Frau Schneider zabrała na wszelki wypadek flaszkę konjaku. Ja — zachowywałam się jak bywalec: wynajęłam od przekupnia cztery poduszki. Moja towarzyszka była zdumiona, myślała, że tam się siedzi na krzesłach.

Nareszcie labiryntem schodów, schodków, sklepień i arkad dotarliśmy na nasze miejsca. Na amfiteatrze było popielato od męskich ubrań, procent kobiet bardzo nieznaczny. Ceny, zważywszy na dwie toreadorskie sławy, były stosunkowo wysokie, a gdy w Hiszpanji ceny są wysokie, to mężczyzna idzie na zabawę — sam. Strona wschodnia tonęła jeszcze w słońcu, myśmy siedzieli w cieniu (sombra) arystokratycznie, za 10 pesetas. Z góry spływał, razporaz, deszcz kolorowych *papellitas*. Były to kartki re-

klamowe. Ponad nami błyszczały instrumenty orkiestry. Ktoś, gdzieś w górnej loży rozpostarł hiszpański szal. Poza tem popielato i robotniczo. W Andaluzji widok publiczności musi mieć więcej charakteru.

Sześć panien w mantylach, zwisających z wysokich grzebieni przejechało samochodem po arenie. Wzbudziły burzę oklasków. Były to przypuszczalnie damy z komitetu. Zjawiły się następnie w dolnej loży, przybranej kwiecistymi szalami. Muzyka zabrzmiała, Frau Schneider chwyciła się za serce, a wrota areny otwarły się naoścież. Istnieje opinja, że wejście *cuadrilla* jest czemś imponującym, że dla samego tego wejścia warto zaryzykować późniejsze krwawe emocje. Może w Andaluzji...

Naprzód wjechało dwóch *alguaziles* w czarnych strojach. Wyglądali jak wysłużeni chórzysci, którym niespodziewanie kazano dosiąść koni. Kierowali się w stronę loży prezydenta miasta — wedle ceremonjału — prosić o klucz od bramy *toril* — obory dla byków, gdzie są zamknięte od wczoraj na ostatnie medytacje przed śmiercią.

Jeden z koni, widocznie muzykalny,



uniósł jeźdźca tanecznym krokiem na środek areny. *Cuadrilla* niecierpliwie czekała u wrót, a prezydent z wysokości swej łoży patrzył zdezorientowany: rzucić klucz, czy nie?

Wreszcie wkroczyła *Cuadrilla*. Mieli ładne, błyszczące stroje, ale szli jakoś bez gracji. Lalanda trzymał się pochyło, Carnicerito miał jakby krzywe nogi... W ostatnim akcie „Carmen“ wygląda ten pochód znacznie lepiej. A już picadorowie — to poprostu parodja! Niezdarni jeźdźcy na starych, znękanych szkapach. Szkapy mają zakryte lewe oko, prowadzi je służba w rozchełstanych koszulach. Boki końskie są zabezpieczone czemś w rodzaju materaca, a jeźdźcy trzymają nogi jakby w szufladach do zbierania śmieci. A już nie daj Boże, gdy przychodzi numer z picadorami. Jest to najbardziej barbarzyńska część widowiska. Gdy odważny toreador potyka się z zuchwałym bykiem — jest w tem przynajmniej emocja. Ale objuczony i oślepiiony koń, który ma z jednej strony barjerę, z drugiej rogi byka, a na sobie ciężkiego jeźdźcę, ściągającego cugle! Byk ma rogi, toreador swobodę ruchów, czem się ma jednak bronić nieszczęsne konisko? Picador tak się boi, że przykro patrzeć, niezdarnie rani byka lancą i przy pierwszej okazji zwala się z siodła. Ale koniowi mogą wyłazić przez ów — jak się okazuje mało ochronny — materac, krwawe jelita, może krew z niego tryśkać, jak z fontanny — pozostawiają go na arenie, służba podtrzymuje go w równowadze prętami i o ile publiczność nie ryknie, by go usunąć — starają się skończyć z nim numer, dla oszczędności, by nie ryzykować drugiego konia.

*

Otworzono wrota *toril* i klusem wpadł na arenę pierwszy byk. Słońce go oślepiło, był oszołomiony, zatrzymał się na środku i patrzył wielkimi, pocziwemi ślepiami. Był to taki byk, którego wygwizduje się za życia i po śmierci. Bał się od początku do końca. *Cuadrilla* usiłowała robić *veronicas* z malinowymi

kapami, ale byk jakoś nie rozumiał ich intencji. Niepodobna go było ruszyć z miejsca, spoglądał zdumiony, jakby pytając, czego od niego chcą. Tłum zaczął gwizdać, przeklinać hodowcę, który tak nieinteligentne byki dostarcza na *corrida* i każdy zosobna, wrzeszcząc, dawał rady toreadorom. Orkiestra zagrała *paso dobro* — wjechali picadorowie. Zraniono byka w grzbiet, zawył żałośnie, przejmując, ale się nie rozjuszyl. Uciekał i uciekał, daremnie szukając wyjścia z areny. Picador zadał drugi przepisowy cios, który nie dał lepszego rezultatu. Tłum się rozwścieczył. Połowa publiczności już nie siedziała, a stała i wszyscy ryczeli:

— *Fuego! Fuego! Fuego!*

Miało to znaczyć, że żądają *banderillas* z fajerwerkami. *Banderillas* bywają bardzo ładnym numerem *Corridy*. Oczywiście trzeba zapomnieć, że byka to boli. Nie trzeba sobie, broń Boże, w danej chwili uprzytamniać, jakby to nam samym było przyjemnie, gdyby ktoś nam w plecy wbił trzy pary patyczków z żelaznemi szpicami... A *banderillas* to takie właśnie patyczki, oplecione pstremi papierkami. Gdy byk jest niegrzeczny — to znaczy, gdy się boi, nie napada — tłum żąda dla podniecenia go *fuego* czyli takich *banderillas*, które po wbiciu w grzbiet wybuchają. Śmierdzi wtedy kałafonją, a byk miota się, jak szalony.

Temu bykowi jednak i *fuego* nie dało rady. Zawył z bólu, wrył rogi w piasek, ale widać miał jakieś anielskie usposobienie: w żaden sposób nie chciał atakować swych prześladowców. Z coraz bardziej rozszerzającą się czerwoną plamą na grzbiecie — wciąż usiłował uciekać. Publiczność nie posiadała się z oburzenia, a Lalanda, któremu ten nieudany *toro* przypadł w udziale, musiał być wściekły. Jak tu wykonać *paso natural* z takim tełórzem i jak go zabić? Zrobił, co mógł i publiczność oceniła trudność jego zadania. Gdy wywlekano zwłoki zwierzęcia rozległ się gwizd niedoopisania, a potem grzmot oklasków — dla matadora.

Drugi byk okazał się śmiały i zuchwały. Klusem przebiegł arenę, tłukąc rogami w ochronne budki. Rzucił się od razu na malinowe kapy, wogóle obiecywał, że będzie wszystko i wszystkich bódł — trzeba, czy nie trzeba. Widowisko stało się interesujące, bo Carnicerito de Mejico był istotnie nieustraszony. Ciskał się wciąż bykowi na rogi, widać było, że sobie z niego kpi. Twarz miał ciemną, oczy skośne, głowę, zwyczajem toreadorów, nieco schyloną nabok. Gdy przyszło do *banderillas* zamiast stanąć, jak przepis każe, na środku areny i wbić je bykowi w grzbiet z rozpędu — oparł się plecami o barjerę i przywabił byka do siebie. Było to straszliwe ryzyko, bowiem jedna sekunda spóźnienia, a rogi byka przygważdżały go do ściany. Ale Carnicerito miał widać djabła za kołnierzem — udało się świetnie! Rozzuchwalony powodzeniem zdart bykowi z grzbietu kokardę, wykonywał *pasos* czółgając się na kolana, inne znowu obracając się tyłem do byka. Zabił jednym ciosem, śmiało i pewnie. Nagrodił go grzmot oklasków i ogon ofiary. W końcowym momencie, przed samym *estoque* skrzywił się nagle

i chwycił za lewe przedramię. Siedzące koło mnie dwie panienki obróciły się nagle z promiennym i rozradowanym uśmiechem:

— *Senorita! Ha visto? Ha visto? Sangre!*

W samej rzeczy — krew spływała ciurkiem spod złożonego rękawa. Ale dlaczego one się tak tem ucieszyły?

Biedny Carnicerito przy następnym hyku doświadczył, czym jest zmienność i niewdzięczność widowni. Choć był w dalszym ciągu zręczny, odważny, zuchwały, rana prawdopodobnie musiała mu dolegać i nie wszystko tak udawało się, jak zamierzał. Gdy przyszło do *estoqueada* byk nie chciał schylić głowy. Bywają takie byki, które nie chcą pomagać matadorom. Szpada nie weszła głęboko, kołysała się ukosem, stercząc w grzbiecie. Ryk i gwizd. Taki hałas, jakby widownia się paliła. Carnicerito wbił drugą szpadę, ale coś tam wszystko szło wbrew prawdom i publiczność nagle i niespodziewanie zapalała litością do byka.

— *Pobre toro! Pobre bestia!* — słyszało się ze wszech stron. Byli tacy, którzy matadorowi grozili pięścią. Nawet



prezydentowi się dostało, jakiś ulicznik zapytał go, poco tu jest i powątpiewał o cnocie jego matki.

Gdy wreszcie byka konie wywlekły z areny — trup jego otrzymał entuzjastyczne oklaski w nagrodę za to, że go tak niefortunnie zabił toreador. Carnicerito nieśmiało wyjrzał zza barjery, aby się pokłonić gromadce swych zwolenników. Powitał go taki świst, że momentalnie uciekł. Niełaska prześladowała go do końca; gdy przy ostatnim byku chciał wykonać kilka *veronicas* — rozległy się znowu mściwe świsty. O zrąnionej ręce nie pomyślał nikt, nikt nie pamiętał triumfów przy pierwszym byku, wszyscy byli oburzeni za drugiego. Taka to jest, znająca się na sztuce tauromachji, publiczność hiszpańska.

Lalanda miał czwartego byka, rozjuszonego i groźnego. Tego właśnie, który koniowi podziurawił boki, jak sito. Sławny *diestro* wywiązał się z zadania świetnie, technika jego była nieposzlakowana. Zresztą publiczność za nim przepada, prócz oklasków posypał się grad kapeluszy, kto nie miał kapelusza — ciskał chociaż kurtkę. Lalanda odrzucał ze śmiechem. zabity byk był poświęcony widowni. Dostaje taki Lalanda, prócz uszu i ogonów byka, 50 tysięcy pesetas za występ. Ładna sumka! Ma własną *ganaderia* — hodowlę byków.

Trzeci matador, Corrochano, poświęcił swego pierwszego byka, jak zwyczaj każe, prezydentowi, zaś drugiego — jakiejś blondynce w dolnej łoży. Był to moment bardzo romantyczny. Toreador — cały na czarno ze srebrem, podszedł do łoży, podniósł ciemną, namięt-

ną twarz i wywracając białkami, mówił jakieś czułe słowa. Tłum był rozczulony, tłum lubi takie krwawe sielanki. Gdy skończył *brindis*, powierzył dziewczynie, na czas trwania boju, swój czarny kapelusz. Panna w łoży stała się bohaterką chwili, dwadzieścia pięć tysięcy spojrzeń zwróciło się na nią. Niestety, Corrochano był nieszczególny, a może byk niedobry? Bo byk dobry — to taki, który jest zły. Wszystko zależy od punktu widzenia.

Publiczność przy tym ostatnim byku okazała niesłychaną obojętność. Zabity był, zdaje się, nieświeźnie, kto chciał pchał w niego szpady, noże i sztylety. Ale tłum miał już dosyć, wszyscy wstali i zaczęli ciskać na arenę poduszki. Synowie p. Schneider też cisnęli, a mama łyknęła sobie z flaszki konjaku. Byk nie został jeszcze wywleczony, a już amfiteatr był nawpół pusty, mrowie ludzkie wysypało się na galerję, aby oglądać odjazd Lalandy. Bardzo jest popularny ten *diestro* — towarzyszyły mu oklaski i okrzyki. Ale kto czytał „Sangre y arena“ ten wie, że życie toreadora — to jest psie życie.

Było to w niedzielę — w poniedziałek w południe, na tej samej arenie miało odbywać się rozéwiartowywanie byków. Widowisko to jest podobno bardzo uczęszczane i całkiem dostępne: wejście — 1 peseta. A we wtorek cała Palma będzie miała na obiad wołowe mięso. Frau Schneider bała się tego mięsa nawet w Cala Ratjada. Musiano jej zrobić kurczę. Bo można jeść wołu, ale nie takiego, na którego śmierć się pa-trzyło własnymi oczami.

Jadwiga Rapacka

Czytajcie Tygodnik Ilustrowany





Olga Czechowa

P E R E Ł K A

Panowie naogół przepadają za takim typem, jaki przedstawiała pani Perelka Marekowa: była to nieduża, zgrabna blondynka, chodząca reklama „Polskiego Lnu“, w lecie, a „Polskiego Tłnu“ (czyli tlenu na głowie) przez cały rok. Swojego dobrego, łysiego męża nazywała — „Lalą“, a siedmioletnią córeczkę Teresę — „Tatą“. — Perelka miała ogródek, który sama uprawiała, pozatem robiła džemperki, a całe lato podczas gdy jej przyjaciółki szalały nad polskim morzem, ona smażyła konfitury, w białym fartuchu, z poważną miną alchemika, stała godzinami koło pieca z zegarkiem w ręku, nie odpowiadając na pytania.

— Co porabia twoja mama? — pytało się jej siedmioletniej córeczki, gdy ją spotykano na spacerze z doktorem Marekiem.

— Mama porabia konfitury — odpowiadało poważnie dziecko.

Perelka nie miała przyjaciela domu, zato oboje z mężem posiadali przyjaciółkę domu, tęą i sympatyczną Magdę, doktora praw, która swoim trochę męskim wyglądem stanowiła żywy kontrast z szaleniem kobiecą Perelką.

Szczególniej doktor Marek nie potrafił się jednego dnia obejść bez Magdy, lubił całemi godzinami spacerować z nią po ogródku i poruszać z nią tematy, które mocno nudziły Perelkę. Lubiała ona także rozmawiać z Magdą, ale o innych rzeczach, naprzykład o miłości małżeńskiej.

— Nie rozumiem — mówiła — jak można zdradzać własnego męża, jeszcze cudzego, prędzej, ale własnego? — Wogóle z obcym mężczyzną takie poufaleści — hrr. Że te kobiety się nie wstydzą!...

Pan Marek też nie zdradzał własnej żony, wprawdzie Magda podobała mu

się bardzo, ale postanowił, że póki jego żona nie zacznie pierwsza, póty on też pozostanie jej wiernym. — „Ty pierwszej, ty kochanie, ty mówię, dość już tego...“ przychodziły mu czasem do głowy słowa z „Dziada i Baby“ — ale odpędzał te brzydkie myśli od siebie i jeszcze bardziej umacniał się w swojej małżeńskiej miłości.

— Czy Perelka przypadkiem nie jest o mnie zazdrosna? — niepokoiła się od czasu do czasu Magda. — Bo czasem tak jakoś dziwnie na mnie patrzy.

— Perelka zazdrosna — śmiał się pan Marek. — Cóż za pomysły? Ona jest tak pewna mojego uczucia, że nigdy o żadną kobietę nie jest zazdrosna, tak samo zresztą jak i ja w stosunku do niej nie miałbym powodu być zazdrosny. To jednak wielkie szczęście mieć taką żonę jak ona. Perelka, to anioł najczystszej wody — dodał z rozrzewnieniem.

*

Któregoś dnia doktor Marek, wróciwszy niespodziewanie wcześniej do domu, nie zastał żony, zato na jej biurku otwarty list, spojrzął na leżącą ćwiartkę papieru, i nagłówek: „Najdroższa“ — zastanowił go. Nałożył okulary i bez najmniejszych skrupułów zabrał się do odczytywania go. List ten przytoczymy w całości, a każdy, kto kiedykolwiek został uderzony w głowę, zrozumie, co przeżywał biedny Marek odczytując owe nieznane mu pismo.

„Najdroższa! Tydzień minął jak ostatni raz miałem Twoje ręce w moich rękach, Twoje usta w moich ustach, a oczy Twoje w moich oczach. Żyję tylko naszymi wspomnieniami, to jest życie, a wszystko inne snem. — Perelko moja, kiedyż znowu zapukasz do mojej pracowni, kiedy obejmiesz mnie za szyję

twojemi okragłemi ramionami, kiedy pytasz twoim dzieciinnym głosem: To-chasz? — Tochasz bajdzo? — O tak moja Pearl, „tocham bajdzo“, więcej niż przypuszczasz... Bo też Ty jesteś in-na od wszystkich kobiet, Ty jesteś Pe-relka, najbardziej udana, najbardziej szlachetna kompozycja przyrody. „Blond Venus“, pamiętasz ten film małeńka? — To Ty jesteś Blond Venus właśnie, Ty, i nikt inny. ...Małeńka kiedy znów zadzwonisz do mnie? Jeżeli Cię krępuje przychodzić do mojego mieszkania, to może umówimy się w parku, lub w kinie, tylko zadzwoń jaknajprędzej, Twój głos działa na mnie jak prąd elektryczny... Jestem jak widzisz mało wymagający, wystarczy mi czasem tylko, Twój głos, jeden uśmiech, jeden pocałunek... Dowidzenia dziecinko, całuję na pożegnanie Twoje usta, oczy i wszystko inne... — Twój“.

*

Podpis na końcu listu był nieczytelny. Pan Marek złapał się za głowę i jęknął seicha jak człowiek, który się nagle skaleczył.

— Lala! Lala! — wołając na męża jak zwykle, wpadła do pokoju Perelka. Uśmiechnięta, z bukietem polnych kwiatów, wyglądała jak sama radość życia, na widok fatalnego listu w rękę męża, poczerwieniała jak jeden z maków w jej bukiecie i zatrzymała się w połowie wesolego biegu.

— Nie jestem żadną Lalą, rozumiesz! — wrzasnął pan Marek zrywając się z fotelu — a jak mi się w tej chwili nie przyznasz od kogo dostałaś ten list, to — to — to cię zabiję.

— Ten list? — ach, o ten głupi list ci chodzi... Nie mogę ci powiedzieć kto go pisał, bo i tak nie uwierzysz...

— Musisz powiedzieć rozumiesz! — Pan Marek, rzeczywiście nie jak żadna lala, ale jak rozwścieczony samiec nacie-rał na nią z zaciśniętymi pięściami, fiole-towy na twarzy, paskudny, straszny, z oczami nawierzchu.

— No więc ci powiem, to Magda pi-sała ten idjotyczny list...

— Magda? Kłamiesz! — przecież ona jest kobietą. Zresztą jakżeż to możliwe, to typowo miłosny list. Słuchaj mów prawdę, bo ja z tego wszystkiego zwa-rjuję...

Perelka najspokojniej w świecie obry-wała płatki margerytek.

— Dziwię się, że dotychczas tego nie zauważyłaś, przecież Magda oddawna kocha się we mnie jak histeryczna pen-sjonarka. Mówi mi, i pieze, rzeczy któ-rychby się żaden mężczyzna nie ośmie-lił mi powiedzieć. Co chcesz stara pan-na, histeryczka... Wszystko to znosiłam spokojnie, ponieważ wiedziałam jak lub-biez jej towarzystwo, ale teraz, jak za mój takt, i poświęcenie, mam jeszcze znosić takie awantury... — Głos jej za-lamał się, i gorączkowo zaczęła szukać w torebce chusteczki.

— No dobrze, ale przecież ten ktoś pisze o sobie w rodzaju męskim. Poza-tem daje do zrozumienia żeście się ca-łowali. Nie, to wszystko jest kłamstwo, podłe, ohydne kłamstwo!

— Ach mój drogi, ile jest kobiet, które dla dowcipu i oryginalności mó-wią o sobie w rodzaju męskim „posze-dłem“, „ubrałem się“, „zalałem się“. Nie zauważyłaś tego? — Powiem ci więcej, ona zawsze twierdzi, że jest mężczyzną.

— Co za ohyda! Ta Magda, taka mi-ła, dobra, mądra... To prawda, że nieraz jej męska logika i mądrość, zastanawia-ły mnie, ale żeby coś takiego!

— Czy myślisz mój drogi, że list od kochanka zostawiałabym tak, na biurku nie bojąc się, że go możesz przeczy-tać? — Perelka przy tem zdaniu usia-dła na kolanach męża, bawiąc się jego szpilką od krawata.

— Wiesz, tem ostatniem zdaniem prze-konałaś mnie... No, pocałuj Lalę i prze-proś, żeś mu mimowoli zrobiła taką straszną przykrość — Obie twarze tej kochającej się pary małżonków zostały obsypane wielką ilością wzajemnych po-całunków.

— Tylko przyrzeknij mi — rzekł mię-dzy jednym pocałunkiem a drugim, pan Marek — że noga tego histerycznego, zwarzowanego dziewczyska, więcej u nas nie postanie.

DZIENNIK BUDOWY



Rzeźby
wykonane
w piaskowcu

Zaobserwowano u młodzieży w wieku dojrzewania skłonność do pisania pamiętników. Mało znaczący na pozór fakt, tłumaczy się potrzebą rejestrowania szybko po sobie następujących w tym okresie zmian w ustroju psychicznym człowieka. Przez rejestrowanie w czasie autoanalizy obserwacji, uzyskuje się możliwość poznania linii rozwoju własnej organizacji psychicznej i ustosunkowania się do niej w sposób pozytywny. Jest to więc środek samoobrony przeciwko stanom niepokoju i depresji, tak częstym w tym okresie, a spowodowanym chaosem licznych nowych doznań i wzruszeń. W pamiętniku chłopca w wieku osiemnastu lat zaobserwujemy szereg ciekawych koncepcyj myślowych, nieustabilizowanych i sprzecznych na tle żywych, nieraz bardzo kontrastujących nastrojów.

Gdybyśmy chcieli śledzić za rozwojem tworu architektonicznego, trzeba by poznać ciekawe niewątpliwe procesy myślowe i uczuciowe w mózgu jego autora. Po części zostają one zarejestrowane w szkicach rysunkowych i krystalizują się ostatecznie w postaci projektu. Ale najlepsza technika rysunkowa nie może uzmysłwić wyczerpująco tworu architektonicznego, nie dadzą także pełnego

obrazu makiety plastyczne i ich fotografie.

Architektura, istniejąca dotychczas w twórczej wyobraźni, zaczyna żyć i przemawiać językiem plastycznym dopiero z chwilą urzeczywistnienia się w trójwymiarowej przestrzeni. Pierwsze uderzenia łopaty, wyrzucającej ziemię z wykopów pod fundamenty, jako początek materializacji, zostają zarejestrowane w dzienniku budowy i od tego czasu, każda garść piasku wsypana do skrzyni z zaprawą, każda cegła i belka muszą być zanotowane, aby dać obiektywny obraz rozwoju żywego organizmu, jakim jest budowa.





Wykopy — beto-
nowanie



słupów i stropów

Prozaiczniej ujmując tę sprawę, trzeba powiedzieć, że dziennik budowy służy do utrzymania kontaktu między kierownikiem budowy, a przedsiębiorstwem wykonywującym ją. Ale nawet przyjmując tę definicję, nie zatracimy analogji dziennika budowy z młodzieńczym pamiętnikiem. Przedsiębiorstwo budowlane i wykonana przez nie praca będzie tu obrazowała rolę fizjologicznego rozwoju, popartego siłą faktów dokonywujących się, a kierownik budowy reprezentuje penetrującą i poznającą świadomość, która daje dyrektywy i wywiera wpływ moralny na ten czy inny sposób postępowania.

Chociaż wiadome jest, że architektura dosłownie: „Z prochu powstaje i w proch się obróci“, nie można się ustosunkować bez podziwu do starań, czynionych przy wznoszeniu budynku, aby zapewnić mu długotrwałość. Każdy szczegół konstrukcyjny opracowany jest na podstawie teoretycznych obliczeń statystycznych i praktycznych doświadczeń wytrzymałościowych. Minęły bezpowrotnie czasy, kiedy wznoszono budowle, nie znając wytrzymałości gruntu, ani własności technicznych materiałów. O tem właśnie ma opowiedzieć dziennik budowy.

16 sierpnia.

Dzień roboczy 1. Pogoda słoneczna. Temp. +26°C.

Rubryka: Stan ludzi u głównego Przedsiębiorcy.—Podmajstrzych 2. Technik 1. Pisarz 1. Dozorców 2. Ceśli 3. Robotników 14.

Rubryka: Rodzaj i opis wykonywanych robót. — Rozpoczęto wykopy ziemne. Rozbiórka parkanu murowanego.

Rubryka: Adnotacja o rozpoczęciu i zakończeniu robót. — O godz. 11.30 przystąpiono do wykopów.

Język dziennika budowy jest lakoniczny, nie mówi o tem, że podmajstrzy murarski jest grubasem, potężnego wzrostu, o twardych i szorstkich rękach, i że posiada groźne, płowe wąsy na rumianej twarzy, a jego niebieskie, łagodne oczy nie harmonizują zupełnie z surową miną. Ale te przymioty są bardzo ważne, gdyż tylko zachowanie zdecydowanej i pewnej siebie postawy, daje mu możliwość utrzymania bezwzględnego posłuchu. Jego mrukliwy, z głębi potężnej klatki piersiowej wydobywający się głos, elektryzuje opieszalego robotnika.

Podmajstrzy ciesielski niema jeszcze wielkiego pola do popisu, ustawił łaty według pomiaru wytyczającego plan fun-

damentów i pilnuje, żeby w czasie wykopywania ziemi, ściany wykopu były należycie podstępłowane.

Kierownicy przedsiębiorstwa kręcą się po placu z uśmiechem, zaaferowani, że oto zaczyna się ich nowa budowa, niosąca korzyści materialne i kłopoty.

Dzień roboczy 2.

Rubryka: Zlecenia i zastrzeżenia kierownictwa. — W dole po rozebrany budynku (w miejscu gdzie nie ma w planie słupów) proszę wykopać dół w celu badania uwarstwienia ziemi.

Dzień roboczy 3.

Rubryka j. w.: W dole po rozebrany budynku proszę ustawić sztandar i wyznaczyć na nim poziomy podłóg I piętra, parteru i niskiego parteru.

Dzień roboczy 4.

Rubryka j. w.: Proszę przygotować materiał zgodnie z rysunkami i obliczeniami statycznymi. Gięcie żelaza i szalowania należy zorganizować natychmiast.

To dyrektywę kierownika budowy, który musi wiedzieć wszystko, co się na budowie dzieje, wytyczać kolejność i terminy robót.

I wreszcie 28 sierpnia, w jedenastym dniu robót, w rubryce uwag kierownictwa, znajdujemy notatkę podpisaną

przez specja od badania właściwości gruntów.

Wyrażam zgodę na posadowienie ławy fundamentowej Nr. 1 i Nr. 2 na niwelecie 3,02 m. ($h=3,02$). Grunt po bliższym zbadaniu jest siwym iłem o wytrzymałości, przewidzianej przez obliczenia statyczne.

Teraz dopiero głos majstra ciesielskiego rozlegać się zaczyna szeroko. Ciesle, których jest już teraz 24, pośpiesznie ustawiają, szalowania w wykopach, a zbrojarze układają w utworzonych przez szalowania korytach, gotowe już, odpowiednio wygięte pręty żelazne. Bęben betoniarki, mieszającej żwir, piasek i cement zostaje puszczony w ruch i wypluwa perjodycznie, co parę minut do podstawionych tacek, szarą papkę rozrobionego betonu.

Po torach ułożonych z desek, pchają robotnicy taczki i wylewają beton, w utworzone przez szalowania, koryta z ułożonymi prętami stalowymi.

W ten sposób powstaje konstrukcja żelbetowa, nadająca architekturze współczesnej charakterystyczne piętno, dzięki



w terrazycie ..



Wyprawa
ścian
zewnątrznych



i w piaskowcu

swej nieograniczonej niemal plastyczności.

Na ławach betonowych rosną słupy szkieletu, na których skolei betonowane są podciągi i stropy. Zaczyna się zarysowywać kształt budowli, niewyraźny jeszcze, osłonięty rusztowaniami i szalowaniem, z ciemnymi wnętrzami, wypełnionymi stemplami, podtrzymującymi świeżo zabetonowane stropy. Tempo budowy wzrasta. W pięćdziesiątym dniu budowy w rubryce: Stan ludzi u głównego przedsiębiorcy czytamy:

Podmajstrzych 2. Technik 1. Pisarz 1. Dozorców 2. Cieśli 24. Robotników 106. Zbrojarzy 16. Murarzy 2.

Potem.

22 listopada. Dzień budowy 84. Pogoda słoneczna.

Robotników jest już 198, cieśli 63. Pracują na trzy zmiany, bo zima zaczyna sygnalizować swoją bliskość.

Temperatura maksymalna $+1^{\circ}$, minimalna -3° .

Należy ukończyć roboty żelbetowe na otwartym powietrzu i przenieść się teraz na inny teren, do wnętrza starego gmachu, które, w związku z dobudową nowego pawilonu, ulegnie gruntownej przeróbce.

1 grudnia. Temperatura maksymalna $+0^{\circ}$, minimalna -6° .

Rubryka: Uwagi przedsiębiorstwa. — Uprzejmie prosimy o podanie temperatury, przy której możemy wykonywać betonowanie stropów oraz innych konstrukcyj żelbetowych.

Rubryka: Zlecenia i zastrzeżenia kierownictwa. — Proszę zamknąć budynek korpusu głównego, wstawić brakujące okna, usunąć wysuwnice. Okna pozamykać i otwory drzwiowe zaszalować. Robota pilna, proszę przystąpić do niej bezzwłocznie.

9 stycznia. Temperatura maksymalna $+4^{\circ}$, minimalna $+1^{\circ}$.

Rubryka j. w.: Strop pierwszego piętra nad przejazdem można betonować, używając podgrzanego żwiru i gorącej wody (bez żadnej dopłaty).

I tu występuje moment liryczny, przedsiębiorstwo czuje się dotknięte tą uwagą.

Rubryka: Uwagi przedsiębiorstwa. — Uprzejmie wyjaśniamy, że do betonowania oddawna stosujemy każdorazowo ciepłą wodę i podgrzany żwir, nie żądając dodatkowej zapłaty.

Z wiosną, jak jaskółki, na budowie zaczynają się pojawiać kamieniarze. 16 marca — 1. 22 marca — 4 i 20 kwietnia jest ich już 11. W części budowli, która ma charakter zabytkowy, trzeba wykonać licowanie z piaskowca. Robo-



Blacharze
na dachu



Obróbka
kamienia



i okładanie ścian
piaskowcem

ta polega na uzupełnieniu brakujących płyt w licu ścian, gzymsów, obramień otworów oraz rzeźb dekoracyjnych we wnękach.

Dnia 11 czerwca robota na budowie zostaje zahamowana przez strajk robotników budowlanych na terenie Warszawy, który trwa do 19 sierpnia. Ewene-ment ten uwieczniony jest w dzienniku budowy w rubryce: *Wypadki siły wyższej*.

Teraz jest znowu jesień — klony, rosnące na placu budowy przy sztagach nowego pawilonu, żółkną już drugi raz, patrząc na pracujących robotników. Wykonuje się ostatnie roboty betonowe, nakłada wyprawy szlachetne i piaskowiec na ściany zewnętrzne. We wnętrzności budynków wgrzyźli się już instalatorzy, zakładający blaszane przewody wentylacyjne, rury wodociągowe, kanalizacyjne i centralnego ogrzewania. Sieć nerwowa — instalacje elektryczne, wpiły się w bruzdy wykute w murze. Rozwiązane są jeszcze ostatnie detale kamieniarskie, szczegóły oświetlenia. Na płaskie dachy nałożono warstwy materiałów izolacyjnych, na stromych blachach wykańczają opprofilowane w blasze gzymsy.

W tle spokojnego, jesiennego błękitu, modelowane łagodnym blaskiem przymglonego słońca, rysują się coraz wyraźniej bryły architektoniczne. We wnętrzach kolumnady, przenikanie wzajemne ścian i sufitów, monumentalne wypiętrzenia schodów, ostrym kantem cięte łuki i żagle sklepień krystalizują się w określonym porządku przestrzennym. O tem dziennik budowy nie mówi nic, ale myśleć musi główny „majster“ — architekt prowadzący budowę.

Gładząc dużym palcem dolną wargę, rzuca urywkowe:

— Nie, proszę pana, to nie może być tak, ja chcę, żeby było tak — a ołówek w dorywczym szkicu ilustruje, jak musi to „tak“ wyglądać.

W odróżnieniu od całego personelu budowy, jego ubranie technicznie nienaganną świeżością, krawat ma zawiązany na duży, luźny węzeł. Odziedziczył w spadku po średniowiecznych *marmorari* i *comascach* pewność siebie człowieka, który buduje. Z miną Brunelleschi, który powiedział, że podjąć się zasklepienia kopuły Santa Maria del Fiore, woła:

— Proszę o dziennik budowy!

Zbigniew Czech



NIEPOTRZEBNE SPOTKANIE

Dwaj starsi panowie i dwie młode panny siedzą przy kawiarnianym stole w jednej ze znanych miejscowości kąpielowych. Obok dancing — murzyn przy saksofonie, fordanser w pydżamie. Pannie dość pośpiesznie jedzą lody, panowie poważnie, poprzez słomki ciągną mazagran. Rozmowa nie idzie. I to nie tylko dlatego, że jest gorąco, głośno i tłoczno — trudność leży w sytuacji. A sytuacja jest niewyraźna.

Zawiła sprawa zaczyna się od tego, że koło południa zupełnie niespodziewanie zjawił się na plaży pan Michał, by — jak się okazało — powiedzieć córce swej Joannie, że w spisie gości kąpielowych znalazł znajomego. Ożywienie z jakim o tem mówił, no i sam fakt przyjścia na plażę, czego nigdy nie robił, sprawiły, że Joanna zapytała:

— Kto to taki?

— Narazie ci nie powiem. Ale napiłem się już do niego bilecik, prosząc o spotkanie u Maxyma. Jest także jego córka. Chodzi mi o to, żebyście się poznały.

— Papuńciu drogi, nie pragnę zawięrać znajomości z żadnymi rodaczkami. Czy nie wiesz o tem? I co ci się wogóle stało?

— Joasiu, o 5-ej po południu. Ubierz się ładnie. Później ci wszystko wyjaśnię. I poszedł, machając laską.

— Czego chciał od pani ten starszy dzentelman? — zapytał piękny Kanadyjczyk, leżący na piasku obok panny Joasi.

— Oznajmił mi, że będę mogła z panem tańczyć dopiero po szóstej.

— Czy zna panią dawniej ode mnie?

— Owszem, jest moim ojcem.

— Więc wszystko w porządku. Przyjdę o szóstej.

O piątej, ubrana w powiewną popołudniową suknię, szła panna Joasia z ojcem do kawiarni Maxyma na to jakies dziwne spotkanie.

Pan Michał rozglądał się bacznie przez długą chwilę, wreszcie zatrzymał

wzrok na czemś określonym, ale widocznie zupełnie pewny jeszcze nie był. Dopiero kiedy młoda osoba, siedząca przy obserwowanym stoliku odwróciła się doń twarzą — zdecydował się podejść.

— Witaj, Kaziu — powiedział.

— Jak się masz, Michale. Ileż to lat, na Boga.

Narazie nie mogli obliczyć. Patrzyli najprzód na siebie, czegoś zaaferowani, potem — na dziewczęta.

— Córka?

— Aha, a to twoja?

— Tak jest. Przywitajcie się dziewczęta.

Dziewczęta przywitały się uprzejmie i bardzo się sobie wzajemnie zdziwiły. Coś je zaskoczyło, ale co to było — nie wiedziały.

— Dawno tu jesteście? — pytał jeden drugiego.

— My dwa tygodnie, a wy?

Tamci byli dopiero od trzech dni.

— Gdzie właściwie mieszkacie?

Jedni mieszkali w Warszawie, a drudzy w Paryżu. Rozmowa, jak to zwykle między spotkanymi po długim niewiedzeniu: — a gdzie, a co, a jak, a zrazu w tempie przyspieszonym, a potem nagle — stop, i niewiadomo co dalej. Wtedy — zwraca się uwagę na resztę. Resztą były w tym wypadku dwie młode panny, obie ubrane białą, obie jasnowłose, obie chabrookie, jednakowe usta, wzrost i cera... Popatrzyli na nie starsi panowie, potem na siebie, trochę im drżały usta, gdy powiedzieli:

— No tak.

Rozmowa się wtedy właśnie urwała. Sytuacja była niewyraźna. Zaproponował więc pan Michał:

— Może się trochę przejdziecie po parku? My tu tymczasem omówimy pewną sprawę.

Wstały uprzejmie i pierwszą lepszą ścieżką weszły w park.

Park był piękny — palmy, róże... Właśnie usiłowały zawiązać jakąś rozmowę,

gdy przechodzący obok dwaj elegancy panowie rzucili mimochodem:

— Bliźniaczki chyba, co?

— Aha.

Stały jak wryte.

— Jesteśmy do siebie podobne! — wykrzyknęły nieomal jednocześnie. Teraz się wyjaśniło to zdziwienie, jakiego doznały na widok samych siebie. Patrzyły na się — nie wiedzieć czemu — wrogo.

— Wracajmy do nich — zdecydowały.

Szły bardzo prędko, nieomal biegly. Toteż gdy stanęły przy stoliku brakło im tchu.

— Co? Już wróciłyście?

— Jesteśmy do siebie podobne — wybuchnęły obie.

Starsi panowie spojrzeli na siebie znacząco.

— Nic dziwnego — powiedział któryś — miałyście wspólną matkę.

Stały dłuższą chwilę w milczeniu, jakieś bezradne. Potem odwróciły się i odeszły tą samą ścieżką.

Szły teraz powoli, nie patrząc na siebie, milczeniem, jak drutem koleczastym od siebie odgradzone.

— Gdzie ona jest? — padło wreszcie, jak pierwsza salwa.

— Umarła.

— Nienawidziłam jej.

— Opuściła cię, wiem.

— Jaka była?

— Nieszczęśliwa — nie kochaliśmy jej, ja ani ojciec.

— Ach, tak? Żałosna zamiana!

— To nasze spotkanie, przyznasz, dość dziwne.

— Chyba niepotrzebne. Czy odczuwasz jakiś „głos krwi“?

— Nie.

— Ani ja. Nawet, powiedziałabym, jeżeli co — to raczej niechęć. Nie podobasz mi się. Nie odczuwam także potrzeby posiadania siostry.

— Masz przyjaciela?

— Tak. A ty?

— Owszem. Pozatem, jeśli chodzi o nasze zainteresowania. Zdaje się...

— Architektura. Ukończyłam politechnikę. A ty?

— Konserwatorium.

— Sprawy społeczne?

— Och, tylko przez pryzmat sztuki.

— Sport?

— Nie.

— Więc właściwie?

— Twój ojciec i mój.

— Czy sądzisz, że spodziewają się czegoś po naszym spotkaniu?

— Chyba tak. Zachowamy pozory, dobrze?

— Oczywiście. Miałam się spotkać z kimś o szóstej.

— Przypuszczam, że gdy o siódmej do nich wrócimy — będzie w sam czas.

— Dobrze. Gdzie się spotkamy?

— Przy tej ławce. Czy to ten pan?

— Tak. Więc o siódmej.

Alejką od morza nadchodził Kandydyżek.

— Już kwadrans po szóstej — powiedział.

— — — — —

W tym samym czasie jeden ze starszych panów zadał drugiemu pytanie:

— Czy byłeś z nią potem szczęśliwy?

— Nie — padła krótka i zdecydowana odpowiedź. Jasne się stało, że pytanie to nie zaskoczyło świadomości pana Michała. Musiał je być sobie nie raz sam zadawać, musiał rzecz dawno przemyśleć, rozważyć i określić. Określił — że nie.

Zdumiał się temu słowu pan Kazimierz tak dalece, że zamilkł.

I tu znów wyszło na jaw, że spodziewał się usłyszeć coś wręcz przeciwnego. Czy padło wreszcie słowo „dlaczego“ — nikt z panów nie pamięta — może tak, a może i nie — dość, że rozmowy o „przeszłym“ nie dało się już uniknąć.

Że wina nie była wyłącznie po jego stronie — od tego zaczął pan Michał. Chyba niepotrzebnie to powiedział. Co i jak było, wynikłoby przecież z faktów. Ale zacząć zwierzenia nie jest łatwo.

— Już wtedy musiała chyba nosić w sobie zadatki tych wszystkich cech charakteru, które później uniemożliwi-



Friedrich March

fol. Paramount

ły harmonijne z nią pożycie. Była zazdrosna — nigdy mi o tem nie mówiła! — nuta żalu zabrzmiała w tem zdaniu. — Kto tego nie przeżył — nie wie — zazdrość jest w ślepotcie swej czemś potwornem. Nie wiem, jak reagowałeś. Ja — zdradą. W bezrozumnej zazdrości jest coś, co prowokuje. Szukałem zaspokojenia moich tęsknot w związkach, które mnie do niczego nie zobowiązywały, gdzie nikt mi nic nie wymawiał, niczego sobie nie zastrzegał. Musiałem czuć się wolny, chcąc być szczęśliwym. A potem — ta jej przesadna miłość do dziecka! Gdybyś mógł to widzieć — mała była ptakiem więzionym w klatce. Nie mogłem na to patrzeć. Kiedyś, w przystępie litości, wywiozłem dziewczynę do szkół do Szwajcarii. Wtedy Marja... w jakimś dzikim rozdrażnieniu... Odratowaliśmy ją, ale nigdy już potem nie była zdrowa. W parę lat umarła.

To nie było wszystko, co chciał powiedzieć pan Michał, a jednak już na tem skończył. Zapadło milczenie.

— Kiedy się z nią żeniłem... — zaczął pan Kazimierz tonem jakimś nieobowiązującym i urwał. Ale przecież pan Michał czekał na wyjaśnienie. Wyglądało nawet na to, że teraz dopiero, z ust pana Kazimierza, spodziewał się usłyszeć rozwiązanie męczących go w ciągu całego pożycia z panią Marją — wątpliwości.

Pan Kazimierz błdził wzrokiem po kolorowym tłumie, kołyszającym się w rytm tanga, śledził roztargnionem spojrzeniem wściekle ruchy rąk czarnych muzykantów, dotarł nawet do granatowych płam prześwitującego między drzewami morza, by — przywołany mocnem spojrzeniem dawnego rywala — wrócić wreszcie do odtworzenia zaginionej przeszłości.

— Nigdy nie była o mnie zazdrosna, dziecka nie kochała — powiedział to głośno, dobitnie i twardo. I wzrok stał się zaczepny.

Rozmowy o przeszłości bywają zdradliwe — z głębi lat wypływa nagle potworna jakaś stwora i gładka tafla wód zostaje zmaczona, z mroku lat wychyla

się cień i szarą pajęczyną zasnuwa drogi.

Pan Michał otarł pot z czoła.

— Rozstaliśmy się wtedy w gniewie — powiedział z żalem.

— Tak, nasza przyjaźń nie wytrzymała ogniowej próby.

— Kiedy się jest młodym — nie odróżnia się istotnych wartości od głosu krwi.

— Zastoinmy się młodością, jeśli tak chcesz, Michale.

— Dlaczego nie ożeniłeś się powtórnie Kaziu?

Cofnąć tego pytania nie było już sposobu. Pan Michał poprostu nie przewidział, że i ono będzie dla tamtego drażliwe. Pan Kazimierz skurczył się dziwnie, zapadł w jakieś dno.

— Nie przestałem kochać Marji — powiedział cicho i bezradnie.

Pana Michała ogarnął nagle strach. W chaosie myśli — przeświadczenie, że musi się bronić.

— Kaziu, gdybym był wiedział...

— Nie warto, Michale. Sprawa skończona. Jak myślisz, gdzie poszły nasze dziewczęta? Chciałbym, żeby się pokochały. Musimy sobie o nich wszystko opowiedzieć — jakie są.

Zdawało się, że znaleźli wreszcie właściwy temat rozmowy, gdy zaraz na pierwszym zakręcie — wjechali na kamień pytania:

— Czy twoja z charakteru lub usposobienia jest podobna do... do Marji?

— Do której Marji?

— Jakto?

— No, czyż nie było ich dwie?

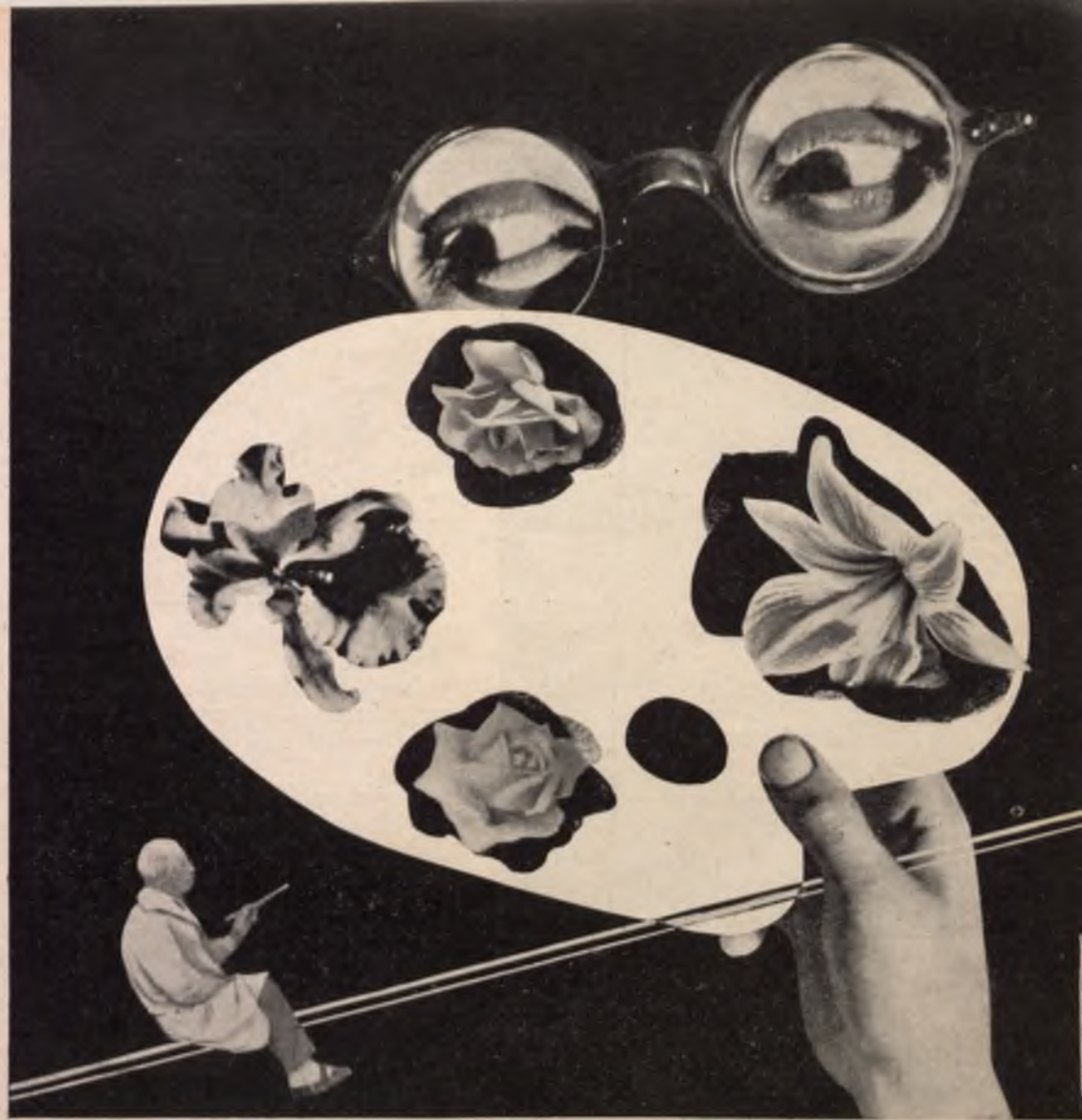
Próbie rozmowy o dniu dzisiejszym zgasił znów podmuch przeszłości.

— Może pójdziemy je odszukać? Chyba zawarły już ze sobą bliższą znajomość?

Było pół do siódmej: Joanna tańczyła tango z Kanadyjczykiem — ta druga, po przeciwnej stronie tarasu, przeglądała miesięczniki przy stoliku.

Nie znalazłszy ich w parku, obaj starsi panowie dziwili się poczęli tej długiej rozmowie w ukryciu.

Zofja Lorentzówna



KULTURA KOLORU

Elegancki Rzym za czasów Nerona ubierał się w barwy żółte o odcieniu bursztynowym. Rokoko hołdowało zestawieniom lekkim i jasnym, kolorom różowym, błękitnym, złocistym i t. p. Sztuka dekoracyjna secesji lubowała się w bladych bronzach, w mdłych fioletach, szarym, żółtym i t. p. Dziś dominuje zielona moda mężczyzn i kobiet.

Przykłady możnaby mnożyć w nie-

skończoność. Świadczą one, że w zakresie mody i sztuk dekoracyjnych wogóle istnieje bezwątpienia kultura koloru, przybierająca często najbardziej osobliwe postaci, zależnie od wielu różnorodnych czynników: od epoki, rasy, otoczenia i t. d.

Obrazy impresjonistów wprowadziły zwyczaj częstego używania tonów fioletowych i ultramarynowych, zwłaszcza



jeśli chodziło o odtworzenie cieniów przedmiotów, naświetlonych słońcem. Starzy mistrzowie nadużywali zato koloru brązowego, co potem wywołało energiczny protest impresjonistów.

Artyści — zwłaszcza ci spod znaku kubizmu — naogół okazują dużo powściągliwości barwnej. Jest to post post szaleństwach palety impresjonistycznej. Inne grupy, odrzucając subtelne, wpływające, wyrafinowane rozkosze secesji, zachwalają raczej zwrot do koloru zdecydowanego kontrastującego i silnego, aczkolwiek częstokroć szorstkiego i nawet brutalnego, przyczem kolory gamy czarnej i szarej wróciły do dawnych praw.

Tak więc na wystawie obrazów czy w muzeum, jak i w szerokim kręgu zdawałoby się banalnego piękna codziennego, mamy okazję spostrzec wiele przemian kolorowych, przyczem głów-

ne znaczenie ma tu problem harmonji barw, czyli pytanie: które zestawienia barwne są odczuwane jako przyjemne, a które jako przykre?

Problem harmonji barw. Teorja i praktyka

Kwestja harmonji barw jest przez teoretyków jeszcze niedostatecznie opracowana. W praktyce malarzy, architektów, dekoratorów i t. d. rzecz odgadywana intuicją lub dyktowana doświadczeniem technicznym i receptą szkoły na gruncie naukowym pochwycić się łatwo nie daje.

Podobnie w muzyce. Tu również wiadomo które akordy są harmonijne, a które nieharmonijne (dotychczas twierdzono inaczej: że istnieje ściśle określona granica między konsonansem a dysonansem). Jednak pewne teoretyczne wskazówki wyszukano i dla plastyki. Dokonał tego głównie uczony Ostwald.

Obliczono, że oko dostrzega około 35.000 odcieni barwnych. Całą tę masę podzielić można na 2 wielkie grupy: kolory neutralne i właściwe.

Neutralne to czern, biel i gama tonów pośredniczących — szarych. Barwy właściwe to: czerwień, oranż, żółta, zielona, błękit, fiolet, purpura i wszystkie odcienie tychże.

Harmonja barw neutralnych

Otóż barwy neutralne harmonizują z każdą barwą właściwą. To samo da się powiedzieć o t. zw. barwie srebrnej.

Gorzej z kolorem złotym, którym należy operować niezwykle oględnie, ponieważ należy on już do właściwych barw, co sprawę komplikuje.

Harmonja barw właściwych

W każdym kolorze właściwym wyróżniamy 3 cechy: jakość, jasność i nasycenie.

Jakością różni się na przykład czerwień od zieleni, szafir od fioletu. Jakość barwy zależy od długości fali świetlnej: coraz to innej długości fali odpowiada inna jakość barwy w po-

rządki widma słonecznego. Naprzykład czerwień jaskrawą zawdzięczamy fali o długości 700 milionowych części milimetra, fioletowi odpowiada fala gości 400 milionowych części milimetra.

Jasnością różni się naprzykład czerwień od tejże samej czerwieni, do której domieszano farby białej lub czarnej. Jasność barwy zależy od energii fali świetlnej. Jeżeli energję widma słonecznego zmniejszać, wszystkie barwy stają się ciemniejsze, jeżeli zwiększać — jaśnieją.

Nasyceniem, czyli jaskrawością, różni się naprzykład kolory występujące w widmie słonecznem od barw wypływających, matowych, niepewnych (nasylenie zależy od kształtu fali wypadkowej czyli od doboru fal składowych w świetle mieszanem).

Otóż według Ostwalda zgadzają się z sobą jakiegokolwiek dwa kolory właściwe, jeżeli:

1) mają tę samą jakość i nasylenie, a różnią się jasnością;

2) harmonizują także kolory o tej samej jakości, ale różniące się i jasnością i nasyleniem.

Zasady powyższe dają harmonje dyskretnie, wykwintne i szlachetne, spotykane często w malowaniu ścian, stosowane w kostjumach pań.

Chociaż i tu popaść można w przesadę. Zwłaszcza w kraju przesady — w Ameryce. Niektórzy milionerzy, nie wiedząc co robić z wolnym czasem i darami fortuny, wpadli na ekscentryczny pomysł „rekordu barwnego“.

Urządzają wielkie przyjęcia w specjalnych kolorach o tej samej jakości, a więc naprzykład raut amarantowy, lila-fajf, szmaragdowy bal, śniadanko bordo i t. d. Wszyscy goście obowiązani są przybyć w ubraniach o kolorze wyznaczonym. Służba zmienia nagałt cały dom na tenże kolor. Zapalają się nastrojowe lampy. Nawet wodę dla ryb w akwariach pokojowych farbuje się na amarantowo czy szmaragdowo! Świadczy to nietyło o guście i elegancji,

ile o ekstrawagancji typowo amerykańskiej.

Prócz zasad 1) i 2) jest jeszcze inna, dająca doskonale wyniki:

3) zgadzają się z sobą kolory dowolnej jakości, ale jednakiej jasności i jednakowego nasylenia. Tu należą zestawienia, jakie widzimy na pasiakach łowieckich, naprzykład: oranż — zielona — fioletowa, na mundurach gwardji papieskiej (wstęgi błękitno-żółte, srebrny hełm z czerwonym pióropuszem), na tęczowych barwach sztandarów spółdzielczości, na niebiesko-biało-czerwonym, oficjalnym trójkolorze francuskim, bardzo często w ornamentacji egzotycznej, na kilimach ludowych i t. d.

Są to harmonje żywe, zgiełkliwe, śmiałe.

Rola kolorów kontrastujących

Szczególnie wspaniałe akordy tworzy się z t. zw. kolorów dopełniających, czy-



li kontrastowych. Są to na przykład takie pary barwne: czerwień i niebieska, zielen morza, gorący oranż i zimny błękit kobaltowy, żłocista i ciemno-granatowa, żółtawa zielen i purpura.

Zestawienia te są może zbyt napastliwe, soczyste, jeżeli chodzi o zastosowanie w państwie mody. Natomiast u malarzy stanowią tajemnicę imponujących efektów. Także w teatrze — gdy blask reflektorów wywołuje grę kontrastów w partjach ocienionych.

Nieinaczej w przyrodzie — o zachodzie słońca cienie nasycają się zielenią kontrastując różowe światło słońca.

Harmonje kolorów kontrastujących łatwo uspokoić, jeżeli dwie barwy nie występują w maksymalnym nasyceniu, ale tylko jedna nasycona, a druga lekko zgaszona. Wówczas kontrast, aczkolwiek odpowiada naturalnym wymogom oka, jednak nie odbywa się zbyt gwałtownie, na czym całość barwna zyskuje.

Wypadek gaszenia jednej z barw kontrastu jest pewnym wyłomem w zasadzie 3), która dopuszczając różne jakości, domaga się jednakowej jasności i jednakowego nasycenia. Zasady teoretyczne, zadawałajaco sprecyzowane, nie obywają się przysłowiowo — bez wyjątków potwierdzających regułę.

Malarze biorą się na jeszcze inne sposoby. Tłumią nie jedną, ale dwie barwy kontrastu. Ewentualnie w ten sposób, że powlekają je jakimś innym kolorem, który pełni rolę spojenia w zestawieniu barwnem (obrazy starych mistrzów). Jest to sposób:

Harmonizowania większych zespołów barwnych

Do wszystkich barw kompozycji dodaje się po jednym kolorze wspólnym, co stanowi metodę stonowania barw, częstą w dywanach orjentalnych. Obrazy starych mistrzów, które na skutek podeszłego wieku pozołkły, objawiają nieoczekiwany a miły efekt harmonijny.

Im kompozycja — na przykład kompletu kostjumu — posługuje się więk-

szą ilością kolorów, tem bardziej komplikuje się problem zharmonizowania ich. Szukano prawa ujmującego zgodność zespołu złożonego z trzech barw. Podobno zawsze uzyska się harmonję, jeżeli trzy barwy wybrane dadzą się rozmieścić na krawędzi t. zw. koła barw i to w trzech punktach, stanowiących wierzchołki wpisanego trójkąta równobocznego, przy czem pozycję można dowolnie zmieniać. Koło barw posiada krawędź, na której oznaczone są kolejno barwy w porządku widma słonecznego plus kolor purpurowy (między fioletem a czerwienią).

Byłyby zatem przyjemne akordy następujące: czerwone — błękitne — żółte, lub purpurowe — zielone — pomarańczowe i t. d. Wskazana jest jednak jaknajdalej idąca ostrożność w stosowaniu powyższej zasady.

Zasada jedności w różnorodności — kluczem do harmonji barw

Najogólniej powiedzieć można, że zespół barw będzie tylko wówczas konsonansem, jeżeli widz, rozważając tenże zespół, odniesie wrażenie jedności w różnorodności.

Sama jedność kolorystyczna, na przykład płaszczyzna o tej samej jakości, jasności i nasyceniu, byłaby zbyt nudna, aby wywołać uczucie przyjemne. Zwłaszcza szkodzi brak kontrastów.

Z drugiej strony: przerost różnorodności nad jednością grozi bezładem kompozycyjnym. Na przykład wnętrze wypełnione wielu meblami o kolorach, posiadających najrozmaitsze jakości, jasności i nasycenia, o którym to zestawieniu chętnie wyrażamy się, że jest „gryzące się“.

W dziedzinie harmonji barw otwiera się wdzięczne pole obserwacji nie tylko dla artysty-fachowca, lecz także dla amatorów piękna. Mimo troskliwych dociekań naukowych — t. zw. dobry smak artysty i amatora pozostał najskuteczniejszym probierzem kultury koloru.

Feliks M.



Suknia jesienna

Model J. Patou



W opinii lądowców przeważa zdanie o lekarzach okrętowych, że w swych podróżach po wodnych żywiołach nie mają zbyt wiele pracy zawodowej. Trochę w tem racji, jednak nie za dużo, bo poza zabawą towarzyską i tańcem pozostaje jeszcze parę dobrych godzin samarytańskiej działalności. Bywają podróże tak spokojne, że, poza sporadycznymi wypadkami, naogół świętuje się. Zawsze jednak ciąży odpowiedzialność na człowieku, który w najbardziej nawet skomplikowanym wypadku tylko na siebie może liczyć i rozporządzać ograniczonymi środkami. Pozatem, gdy okręt przybija do brzegów amerykańskich, lekarz przechodzi przez gehennę formalności sanitarnych. Mimo, że spokojne podróże przeważają, to jednak, chociaż nieczęsto, „wyjątki potwierdzają regułę“.

Odbywałem, w numeracji kursów, trzynastą podróż do Nowego Jorku i (pew-

nie dzięki tej trzynastce) prześladował mnie niezwykle pech.

Już w kierunku do Stanów punktem kulminacyjnym niewdzięcznych przypadków lekarskich był zgon jednego z pasażerów.

W powrocie, jeśli prawdą jest, że duchy zmarłych lubią się mścić, choćby najniesprawiedliwiej, mogłem to sprawdzić na sobie.

Przy wyjeździe z portów amerykańskich pasażerowie nie przechodzą kontroli sanitarnej. Toteż często ogląda się wypadki nie tylko chorób, lecz niesłychanego zaniedbania czy też braku higieny.

Bywają ludzie zestarzały na emigracji, nie mówiący po angielsku, wracający do ojczyzny, by złożyć tam swoje kości, czy też leczyć choroby całego życia u lekarzy, z którymi mogą się porozumieć.

Oglądałem wypadki raka tak zaawansowane, że o zabiegu chirurgicznym

mowy być nie mogło. Ci nieszczęśliwi naiwni opowiadali, z uśmiechem mającym zdradzać ich niezwykłą orjentację, że „dochter - amerykańaniec radził kilka lat temu *operejszen*, bo te amerykańaniec myślą tylko o dularach, a tymczasem krajowy dochter za małe pieniądze wy-leczy *pilsami*”.

Były niejednokrotnie jednostki, budzące obawę, że nie przetrzymają prawie dwutygodniowej podróży. W tym rejsie szczególnie wielka liczba tych przykrych pasażerów wracała do Europy.

Minęło trzy dni od wyjazdu z Nowego Jorku. Pracowałem niezbyt ochotczo. Bez wyraźnego uzasadnienia czułem się osłabiony.

Pogoda była nieszczególna. Ocean wprawdzie nie straszył wielkimi falami, lecz gęsta, panująca od kilku dni, mgła wywoływała depresję nastrojów okrętowych.

Syrena przejmująco huczała...

Czwartego dnia urządziłem w pierwszej klasie dancing. Sprawowałem obowiązki gospodarza, bo kapitan czuwał na mostku.

Osób było niewiele. Orkiestra zagrała fox-trota. Przy zlekka kołyszącej sali balowej nie kwapiono się do tańca. Zrobiłem początek, prosząc jedną z pasażerek. Chwilę później tańczyła już druga para. Tancerz zdaje się nieco wypił, bo foxtrotował z niezwykłym rozmachem.

Po kilku okrążeniach sali usłyszałem stuk i krzyk.

Tamta para leżała na ziemi.

On szybko się podniósł, ale partnerka pozostawała bez ruchu. Przerwałem taniec i zbliżyłem się do leżącej. Prawa stopa, wykręcona nazewnątrz, sterczała pod kątem prostym do podudzia.

Wezwałem stewardów. Znieśliśmy ofiarę mego pomysłu do szpitala. Pacjentka była młodą dziewczyną niezwykle urody.

Badanie stwierdziło skomplikowane złamanie oraz zwichnięcie. Zestawiłem uszkodzone części i z pomocą pielęgniarki założyłem opatrunek. Pacjentka sprawiała dużo kłopotu. Krzyczała i gwałtownymi ruchami rozluźniała opaski.

Zajęty opatrywaniem pasażerki, czu-

łem, że siły mnie opuszczają i nagle zrobiło mi się ciemno przed oczami. W tej chwili usłyszałem gwałtowne stukanie do drzwi ambulatorjum. Oprzytomniałem.

Wniesiono palacza. W czasie bójk w hali maszyn, uciekając przed atakującymi, wpadł w półmroku do jakiegoś dołu. Zwichnął nogę w stawie biodrowym. Sprawa kwalifikowała się do późniejszych pretensyj sądowych, zatem trzeba było przeprowadzić całe śledztwo. Musiałem zwichnięcie nastawić.

Uszkodzony palacz o niedźwiedziej kształtach, z twarzą handyty lombrowskiego typu, stanowczo sprzeciwił się narkozie, uważając to za zbyt dla życia niebezpieczne.

Pracowałem w asyście pielęgniarki, pierwszego, oraz drugiego inżyniera. Chorego przytrzymywali sześciu atletów-palaczy. Trzymali go dobrze, może nawet za dobrze, bo pacjent wrzeszcząc skarżył się na ból karku, rąk i brzucha — zwichnięta noga schodziła na plan dalszy. Starszy mechanik trzymał go za głowę tak energicznie, że drżałem o życie pacjenta.





Wykonywanie skomplikowanych ruchów udem, by główkę kości wprowadzić na właściwe miejsce, było naprawdę ciężkim wysiłkiem fizycznym. Trzymamy wyteżał całą swą siłę, kurcząc z bólu mięśnie. Musiałem przeciwstawić się temu oporowi.

Równocześnie z chrzęstem wpadającej do panewki główki, uczułem niesłychanie ostry ból w prawym boku.

Z ogromnym wysiłkiem pomagałem

pielęgniarce w nakładaniu gipsowych opatrunków.

Rozpoznawałem u siebie ostre zapalenie wyrostka robaczkowego.

Położyłem się w ambulatorjum. Dochodziło mnie płaczliwe wołanie pasażerki.

Pomijając cierpienia, najprzykrzejszą była świadomość bezradnej sytuacji. W tej chwili wezwano mnie do chorej stewardessy. Lecz nie byłem w stanie się podnieść.

— Chora dostała silnego krwotoku — przyniosła wiadomość pielęgniarka.

Polecilem zastosowanie wszelkich dostępnych środków. Po godzinie, gdy krwotok nie ustawał, należało dokonać ginekologicznej operacji, pod groźbą śmiertelnego skrwawienia się chorej.

Leżąc, wydawałem polecenia przygotowania i sterylizacji instrumentów.

Wezwałem pierwszego inżyniera i wyperswadowując mu zażenowanie, zdobyłem go do asysty.

Udany wynik operacji dodziśdnia mię zastanawia. Wyczerpany całym kompleksem objawów, towarzyszących mojej chorobie, nie mogłem utrzymać się na nogach. Było zasługą pierwszego mechanika, trzymającego mię prawie w powietrzu pod ramiona, że przy kołyszącym statku, napół przytomnie, dokonywałem precyzyjnych ruchów, wymaganych przez ten zabieg.

Gdy później leżałem już w łóżku w kabinie, nurtujące mię myśli były najsmutniejszymi w dotychczasowym życiu. Niewesoła sytuacja stawała się poważniejszą z godziny na godzinę. Ze wzmagającą się temperaturą, rosły moje obawy o los chorych w szpitalu. Chora operowana gorączkowała. Pasażerka ze złamaną nogą zachowywała się niespokojnie i psuła opatrunki. Palacz dziko się awanturował, rozbijając nałożone opaski gipsowe.

Miałem objawy zapalenia otrzewnej i przepowiadałem sobie bliską ucieczkę w niebiańskie szlaki.

Naturalnie pasażerowie nie wiedzieli o mej chorobie, a pragnącym porady tłumaczyło się moją nieobecność chwi-

lową niedyspozycją. Niektórzy jednak koniecznie domagali się widzenia ze mną i z tymi usiłowałem konferować z łóżka.

Najprzykrejsze było badanie dzieci. Przynoszono je do mnie na rękach, a ja starałem się zobaczyć u nich migdałki. Ostatecznie stwierdziłem u pięciorga dyfterję.

Pielęgniarka dokazywała cudów pracowitości, prowadząc szpital, ambulatorjum, kierując dezynfekcją, zastrzykując surowicę i bez względu na porę czuwając przy mnie.

Minęły dwie doby. Poza chorymi w szpitalu, mój stan niewiele dawał złudzeń.

Kapitan wezwał pomocy. Nadano S. O. S.

Było jeszcze cztery dni drogi do Europy, a nasz kurs nie dawał szans na spotkanie jakiegoś linjowca.

Z odległości dwustu mil zgłosił się wspaniały parowiec angielski. Na po-

kładzie miał dwóch lekarzy i doskonałą salę operacyjną.

W dwanaście godzin byli na miejscu.

Przybyli koledzy zdecydowali zabrać mnie na swój statek, idący do Montrealu. W sposób wcale awanturniczy i budzący w mej zubożonej jaźni dreszczyki emocji transportowano mię w wietrzną pogodę na szczytach kilkumetrowych fal. Sześciu marynarzy wiosłowało przez dwie godziny, nim dotarliśmy do zbawczego statku.

Winda wciągnęła mię na pokład.

Dojrzałem pióropusz dymu. Mój okręt oddalał się.

Usłyszałem pożegnalny ryk syreny...

Gdy szczęśliwy epilog zakończył pecha, dowiedziałem się o losach moich pacjentów. Wzyskim powiodło się doskonale. Palacz tak się poprawił, że na jeden dzień przed portem zerwał opatrunki i zbiegłszy do kotłowni, usiłował dokończyć kilka dni temu rozpoczętej bójki.

T. Wielawski i W. Winiarz



Ilustracje:

A. Stypiński.

J. Skolimowski.

ŚWIAT PODZIEMI

Na Orawie, u podnóża Tatr Niżnich, pośród zielonych, łagodnie falujących skłónów, pośród puszystych traw, na których stoją w południe nieruchome stada krów, leży stare, ciche miasteczko St. Mikulasz. Wędrowca z groźnych Tatr ogarnia tu odrazu atmosfera senności i apatii. Małe domki, pomalowane na żółto i różowo, niby układanki z klocków, prażą się leniwie w słońcu; tubylecy błakają się bez życia po pustych, wymarłych uliczkach, lub spoza zamkniętych okien, pełnych pelargonij i fuksyj, patrzą obojętnie na przechodzących. Wyczuwa się, że w tem miasteczku nie się nie dzieje i nie dzieć się nie może; nawet głosy burz, rozpętanych nad Europą, dochodzą tu stłumionem, słabem echem, rozplývają się w ciszy i bezruchu, i zapadają w sen letargiczny.

Ta martwa, cicha miejscina jest punktem wyjścia do zwiedzenia słynnych Jaskiń Demianowskich. Sprzed dworca odjeżdżają autobusy, które za minut dwadzieścia malowniczym wąwozem dowożą turystę do stóp zaczarowanej góry. Dalej idzie się pieszo wygodną serpentyną. U wejścia do jaskiń stoi maleńka, ładna restauracja, w hallu kupujemy bilety, zostawiamy plecaki, potem przewodnik otwiera ciężkie, żelazne drzwi i poczynamy schodzić wdół...

Jaskinie Demianowskie „odkryto“ kilkanaście lat temu — przypadkiem, podobnie jak wszystkie tego rodzaju wydłużone groty. Obywatel Alojzy Kral, nauczyciel z Demianowa, spacerował pewnego dnia nad potokiem Łukawką. Nagle zauważył, że potok wsiąka w ziemię i znika pod skałą; dalszego biegu na powierzchni nie mógł już wysledzić. Wśliznął się więc w niski tunel nad łożyskiem strumienia, czas jakiś pełzał na czworakach w wodzie, potem po-

czuł nad sobą wolną przestrzeń, podniósł się, zaświecił latarkę i — prawdopodobnie — wydał okrzyk zdumienia.

Obywatel Alojzy Kral stał w zakłętym świecie podziemi, w ogromnym, chłodnym, kamiennym, mrocznym świecie, który od tysiącleci żył własnem życiem i własnymi prawami w samotnych czeluściach gór.

Jakież to życie i jakie prawa ukształtowały ten świat? W pieczarach szumi woda, lśni wdole płynną, szmaragdową strugą, idziemy długi czas jej brzegiem. Ten to strumień, Łukawka, wdarłszy się wartkim nurtem w głąb gór, wypłukał ich miąższ, wyłobził wnętrza, rozpuścił sole wapienne; wody jego stwardniały, nasyciły się składnikami mineralnemi i poczęły wydzielać je i osadzać wszędzie tam, gdzie sączyły się lub kapąły w chłodnej parnoci jaskiń. Krople kłaskają i kapią, woda szemrze i bulgoce, a każda kropla niesie niedostrzegalną drobinę materji stalej i ślad swój znaczy białym osadem. Proces i wszystkie fazy osadzania i krystalizacji minerału możemy dokładnie obserwować: od cienkich, kruchych, wątych stalaktytów, które bladą, koronkową siatką zwisają ze stropu, po najwspanialsze dziwotwory, wyśnzione chyba w fantazji, zjawiskowo piękne. Kryształy wapienia, oswobodzone z wody, narastają tutaj, w otchłaniach, niesamowitem bogactwem form i postaci zaludniając groty. Olbrzymie stalagmity kamiennem dotknięciem zespalały się ze zwisającymi stalaktytami, strzelają w górę smukłe gaje palmowe, łososiową barwą błyszczą misterne, ciąglą pracą wody rzeźbione pilastry i iglice, kłapiaste, słoniowate uszy obrastają ściany, wznoszą się „domy“ i „chramy“, białe i topazowe, zastygłe kaskady kryształu pienią się obok drogi, na maleńkich, błękitnych jeziorkach wy-





URNY W BIAŁYM CHRAMIE

kwitają koralowe atole i nenufary, pola mineralnych kalafiorów ścielą się chropawą płaszczyzną, gdzieś wysoko w górze, gdzie już dojść nie można, widnieją srebrzyste, śnieżne pałace. A cały ten świat żywych, rosnących kamieni, cała ta oszołomiająca scenerja zamknięta jest pod szarym, głuchym, stromym nawisem, na podłożu iłów, margli i wapieni, w fantastycznie postrzępionej przestrzeni, dzwoniącej wodą, dyszącą wilgocią.

Chodzimy dwie godziny po betonowym chodniku i stopniach, pniemy się w górę, zstępujemy w dół. Nad naszymi głowami sperlony wodą strop podnosi się nagle o sześćdziesiąt metrów, pod nogami mokry grunt opada o sześćdziesiąt metrów. Pieczara, w której stoimy, ma 120 metrów w linii pionowej. W jej ogromie i szarości gubi się pełznący cicho wąż ludzki. Setki lamp, potężne reflektory rozświetlają tajemnicę świata form doskonałych. Technika wydobyla ten świat z nicości, w której — niewiadomy nikomu — drzemał od prawieków, rzuciła elektryczny blask na blade

DRZEWO ŻYCIA





ZE ŚNIEŻNEJ ŚWIATYNI

GROTA TOMASZA BATU

kryształy, powiodła światło i ludzi w ponure mroki gór.

Przewodnik mówi, objaśnia, co dostojniejsze twory chrzci własnym imieniem: „Masarykowy dom“, „Śnieżna chata“, „Wodospad żywota“, „Chram swobody“. I jeszcze dodaje, że milimetr stalaktytu „rośnie“ lat dziesięć. A przecież odrywające się tu procesy są stosunkowo młode i wtórne. Przecież na-przód istniały góry osadowe, wyłonię z głębin mórz pierwotnych, potem, długo potem, wymyła je woda, by sko-lei wykryształizować stalagmitowe pięk-no. I podobnie, jak w obliczu gór czy oceanu --- i tutaj, w tem przestworzu, osnutem mgłą, w widmowym półświecie podziemi, nawiedza człowieka trwożny zawrót głowy, na myśl o starości naszego globu i o kosmicznych przemianach, których był widownią, odkąd — żarzą-cą kulą — oderwał się od macierzystej mgławicy i spłynął w czarność wszech-świata.

Wanda Kragen



O DZIEJACH WIDELCA

trochę o myciu rąk

i

zachowaniu się przy stole



Za dawnych, dobrych czasów niejaki Fryderyk Dedekind, inspektor kościołów reformowanych w diecezji lubeckiej, opublikował drukiem książeczkę, podręcznik, pisany wierszem po łacinie, zawierający rady i wskazówki dotyczące *savoir vivre'u*, podane *à rebours*.

Ów dowcipny reformator zaleca między innemi młodemu człowiekowi, dbającemu o opinię prawdziwego gentlemana, aby się nie cesał, aby chodził ulicą jak błędny, rozpychając się łokciami; doradza mu kichanie prosto w twarz swego sąsiada przy stole i niekłanianie się znajomym. Młodej paninie, chcącej zasługiwać na miano osoby dobrze ułożonej rekomenduje, aby „dekoltowała się z całą odwagą, ponieważ dobrze widziane są rzeczy ładne, które można oglądać, a nikt nie troszczy się o to, co jest w ukryciu“; poleca gorąco szukanie pcheł w towarzystwie i t. d.

Znajdujemy tam również niewielki *passus*, poświęcony myciu. „Mycie rąk i twarzy jest prawdziwą hańbą, jest to zwyczaj przeciwny zasadom higieny. Byli ludzie, którzy od tego umarli. Niech inni myją się ile zechcą: ty jednak nie będziesz tego czynił“.

Wygląda to na żart. Ale w owych czasach zwyczaj mycia rąk i całego ciała nie istniał prawie. W XV w. zaczęło powstawać mnóstwo brewjarzy, dotyczących *savoir vivre'u*. I choć długi czas czystość i higiena były w zaniedbaniu, niemniej jednak sposób zachowania się w towarzystwie był częstym tematem rozważań i dyskusyj.

Inny autor z tej epoki oburza się na szybkie jedzenie i napełnianie ust jadem, na wtykanie nosa w talerz, na głośne picie wina i mlaskanie przy jedzeniu zupy, „gdyż dźwięki te są nieprzystojne“. Wycieranie palców w obrus, opieranie się na łokciach, huśtanie na krześle, zanurzanie chleba w sosie, nabieranie soli nożem zamiast palcami (sic!) — wszystko to autor brewjarza z czasów Odrodzenia wytyka swoim współczesnym.

W innym znów podręczniku dobrego tonu czytamy co należy czynić po przebudzeniu się rano: małym instrumentem wyczyścić uszy i ich okolice, następnie zwilżyć usta wodą, zwłaszcza w lecie; umyć ręce i twarz, poczem wytrzeć je lnianym ręcznikiem, przypudrować i natrzeć tłuszczem lub też zwilżyć wodą kwiatową.

Jeśli chodzi o czystość, to zachowanie jej sprowadzało się w głównej mierze do mycia rąk przed jedzeniem. To było warunkiem, *conditio sine qua non* dobrego wychowania. To obowiązywało. W salach jadalnych znajdowały się w tym celu bądź to miednice przenośne, bądź też wmurowane i umieszczone w specjalnych niszach. Zależnie od możliwości domu były robione z cyny, kamienia, marmuru lub brązu. Zaopatrzone w kraniki i ściek, stanowiły jedyny przybór do mycia. Wnęki, jakie oglądać można w starych zamkach, świadczą o wymiarach, nieraz bardzo okazałych, tych *lavabos*. Służyły do mycia rąk panu domu i zaproszonym gościom przed i po jedzeniu. Podczas przyjęć do osób wysoko postawionych posługiwano się nie zwykłą wodą, lecz wodą różaną lub wywarem z kwiatu pomarańczowego.

Zwyczaj mycia rąk, towarzyszący posiłkom, stanowił ceremoniał bardzo szczególny. Nie można było wykonywać owych ablucyj jednocześnie z kimś o niższej pozycji socjalnej. „Pan d'Estrée — pisze Brantôme — nie chciał nigdy myć rąk z panią de la Seneschalle, moją habką, tylko mył je razem ze swemi dwiema córkami“. Gdzieindziej znów

autor „Żywotów Pań Swawolnych“ wspomina o pewnym szlachcicu, który za żadną cenę nie chciał „myć się“ jednocześnie ze swym ojcem, ponieważ stanowiło to dla niego zbyt wiele honoru i zaszczytu...

We Francji za czasów Mazarina istniał rodzaj kodeksu dobrego tonu p. t. „*Loix de la galanterie française*“, który pouczał między innemi, iż „można niekiedy się wykapać, aby mieć ciało czyste, a co trzy dni należy się *posatygować* i umyć sobie ręce olejkim migdałowym“.

Ten wodowstręt był w owych czasach posunięty tak dalece, że w jednym z dialogów miłosnych Małgorzaty z Navarry jakaś dama oświadczyła, że nie myła rąk od ośmiu dni...

A teraz rzucmy okiem na starożytność. Zwyczaj mycia rąk przed jedzeniem i między jednym a drugim posiłkiem wywodzi się stąd, że w czasach antycznych i przez cały szereg wieków późniejszych nie znano widelca, który zastępowano prosto palcami. Egipcjanie myli ręce przed i między jednym a drugim posiłkiem. To samo spotkać można było u Hebrajczyków. I niewątpliwie obrządek zanurzania rąk do naczynia z wodą u chasydów jest niczem innem jak zniekształconą formą pradawnego aktu higieny. Dla tych ablucyj używano naczynia o wydłużonym dziobku lub też korytka i miski. W Rzymie ceremoniał ten był powszechnie przyjętym zwyczajem. Polegał na polewaniu palców wodą przy pomocy t. zw. *gutturium*,



naczynia przez którego bardzo wąskie ujęcie kapą kroplami woda. Palce wycierano potem rodzajem serwety (*map-pa*), którą każdy z zaproszonych gości przynosił ze sobą.

W średniowieczu odbywało się to już nieco inaczej. Gdy nadchodził czas przyjmowania posiłków, oznajmiano tę chwilę zapomocą dęcia w róg lub trąby. Z wieży zamkowej rozlegał się dźwięk rogu. Była to pobudka oznaczająca: — Do stołu! Do stołu!

Lecz przedewszystkiem oznaczała: — Do mycia rąk!

Poczem szlachta i mieszczenie, starzy i młodzi, damy i baronowie — wszystko to zbiegało się i żądało wody. Służba zależnie od stanowiska i pozycji zebranych rozlewała wodę na ręce, poczem wręczała każdemu serwety do osuszenia rąk. Na zamkach i po kasztelach używano do tych ablucyj metalowych naczyni, które roznosiła służba przed podaniem posiłków. Na pierwszy ogień szedł gość, potem przychodziła kolej na pana domu i damy. Obnoszący wodę w naczyniach, t. zw. *damoiseau* we Francji spełniając tę funkcję u szlachty miał ręcznik owinięty dokoła ręki. Na dworze królewskim nosił go złożony na ramieniu. Obchodził ceremonjalnie biesiadników, rozpoczynając od najdostojniejszego i przechylając dzióbkiem naczynie delikatnie polewał ręce zgromadzonych przy stole. I nieraz gdy za-

brakło wody, używano zamiast niej po prostu wina... Naczynia do mycia były czasem wielce zbyt kosztowne. Książę d'Anjou miał ich około 60-ciu, a wszystkie były złote, emaljowane i posrebrzane. Karol zaś V posiadał ich aż 70 w srebrze i 24 ze szczerzego złota. Hrabina Mahaut (początki XIV w.) miała cztery naczynia srebrne wartości 100 liwrow. Jedne służyły do mycia rąk, inne, głębsze — do mycia głowy. W budżecie dworu d'Artois figuruje często pozycja mydeł i „proszku do mycia głowy Jaśnie Pani“.

Ręce, jak już nadmieniliśmy, wycierano w serwetkę, w skromniejszych domach — w obrus; zimą, gdy przyjmowano gościa wysoko postawionego serwetki ogrzewano przed użyciem.

Znacznie gorzej było z czystością rąk, gdy przy jedzeniu zaczęto posługiwać się widelcem. Od tej chwili przestano poczuwać się do obowiązku utrzymywania rąk w czystości. W ten sposób wprowadzenie w użycie widelca miało i swoją złą stronę.

Kiedy właściwie zaczęto posługiwać się tem narzędziem? Sięgnijmy daleko, bo aż do mitologii. Istnieje wersja, bardzo zresztą ciekawa, jakoby trójząb Neptuna był niczem innem, jak tylko widelcem wielkich rozmiarów. Homer wspomina ponadto, że Grecy posługiwali się widelcem przy smażeniu mięsa na ruszcie. Wersyj tych jednak nie moż-



SAMOCHÓD „PICCOLO”

limuzyna 4-cyl., 4-drzwłowa,
to najtańszy samochód w Polsce
i najodpowiedniejszy typ dla
motoryzacji kraju

Cena Zł. 6.800. Za gotówkę 10% skonta.

„OSWIĘCIM” Zjednoczone Fabryki Maszyn i Samochodów S. A.
w Oświęcimiu

Przedstawicielstwa: w Warszawie, Krakowie, Poznaniu, Łodzi, Lwowie i Częstochowie
Największy w Polsce skład samochodów nowych i używanych.

na brać na serjo. Wiadomo tylko z całą pewnością, że Rzymianie znali noże i łyżki. *Culter coquinaris* — był to nóż kuchenny, służący do krajania mięsa. *Lingula* rodzaj małej łyżeczki w kształcie języka ludzkiego, służący do jedzenia konfitur i zbierania szumowiny.

Widelec zaczął wchodzić w użycie w Europie od początku 14 w. W r. 1328 w inwentarzu królowej Klementyny węgierskiej znaleziono 30 łyżek i jeden widelec. Księżna de Touraine (1379) miała w majątku dziewięć tuzinów srebrnych łyżek i dwa pozłacane widelce. Jak widać, instrument ten zaczynał w tych czasach bardzo powoli i zrazu nieśmiało wchodzić w użycie. Służył podówczas do całkiem specjalnych celów. Karol V był posiadaczem widelców ze złota o rękojeściach z drogocennych kamieni. Do czegoż służyły owe wymyślne przyrządy? ...Do zapiekania na ruszce sera z Auvergne, który jadano przysypany cukrem i mielonym cynamonem.

Pierwszą, nieudaną zresztą, próbą wprowadzenia w użycie widelca spotykamy w XI stuleciu w Wenecji, gdzie „lansowała“ go żona doży Domenico Silvio, księżniczka grecka. Dama ta jadła ponoć „przy pomocy małych wideltek ze złota o dwóch zębach“. Był to skandal tak głośny, taka obraza boska, że wyrafinowana dogaresa otrzymała ostrą naganę od Ojców Kościoła, którzy ścignęli na nią gniew hoży. Bowiem wkrótce potem bezwstydną „grzesznicą“ ciężko zaniemogła na jakąś wielce przykrą chorobę i św. Bonawentura widział w tem dopust boży.

Dopiero pod koniec XV w. widelec zdobył sobie w Wenecji prawo obywatelstwa. Zgubny ten i występny zwyczaj z Włoch przeniknął do Anglii w r. 1611, gdzie spadł nań grad złośliwych konceptów i drwin. Pierwszy człowiek, który zaczął posługiwać się widelcem otrzymał przezwisko *furcifer*, co znaczy: człowiek z widłami. We Francji, jak wspomniano, owa herezja zaczęła wchodzić w życie zrazu bardzo dyskretnie, widelce zjawiały się na dworach książęcych i to w okolicznościach wyjątkowych. Na codzienny użytek wprowadził



KŁOWA BOLI
ASPIRINA
 NIC NIE SZKODZI
 NIE ZAWODZI
 DO NABYCIA WE WSZYSTKICH APTEKACH

je król Henryk III, który, wracając z Polski zatrzymał się w Wenecji. Inowacja, którą wprowadził u siebie na dworze wywołała również niemałe drwiny i natrząsania się z tych „pieszczochów i delikatnisiów“, którzy za nic nie chcieli tknąć mięsa rękami.

Przez dłuższy czas zwyczaj używania widelca był udziałem jedynie członków dworu królewskiego. Aristokracja zwyczaj ten przyjęła połowicznie. W czasach Brantôme'a „panie swawolne“ jadły pasztety i gorące słodczyce, posługując się zarówno widelczykami jak i palcami. Dopiero brewjarze dobrego tonu czasów Ludwika XV zalecają *wyłączne* używanie widelca. Na dworze Ludwika XIV było to tylko przywilejem króla. Reszta biesiadników musiała radzić sobie nożem i... palcami.

M-me de Motteville, pisząc o Annie Austriaczce, wyraża się, że królowa była „czysta i schludna“. W innym znów miejscu, gdy pisze o przybyciu królowej Krystyny do Compiègne wyraża się, iż ręce dostojnej monarchini „tak były niechlujne, że trudno było dopatrzeć się w nich śladu piękności“. Kronikarz z czasów Regencji pisze o księciu Vendôme, że był tak brudny, iż niesposób było siedzieć obok niego przy stole. Według relacji innego znów kronikarza, ojciec wielkiego Kondeusza „nie byłby wcale tak straszny, gdyby był trochę czystszy“. Wspominając o słynnym księciu d'Enghien, nadmienia, że był brudny i brzydki.

Tak sprawy wyglądały na najwyższych szczeblach społecznych. A co działo się o kilka szczebli niżej?

W r. 1766 w Strassburgu wyszła książka p. t. „*Elements de politesse*“ niejakiego Prevost'a. Dziełko to daje nam obraz sposobu bycia i obyczajów w czasach pani Dubarry. Przyjrzyjmy się, czego w epoce najwyższego zbytku i brudu należało unikać.

„Nie rozpychaj się łokciami. Nie drap się. Nie zdradzaj się najlżejszym gestem, że jesteś głodny. Nie spozieraj chciwie na mięso, jakbyś je całe chciał pożyć. Choćbyś był nie wiem jak głodny, nie jedz łapczywie, bo mógłbyś się zadławić. Nie wysysaj kości, aby dobrać z nich szpiku. Miej sobie za zasadę, że wszystko, co raz było na talerzu, nie może się już znaleźć na półmisku, i że niema nic obrzydliwszego jak osuszanie i czyszczenie półmiska i talerza po jedzeniu palcami. Unikaj mówienia pełnemi ustami. Nieprzystojną jest rzeczą dłubanie w zębach podczas jedzenia nożem lub widelcem“.

Polecało się natomiast:

„Siadając do stołu, głowę miej odkrytą. Gdy masz palce zatłuszczone, wytrzyj je w serwetkę a nigdy w obrus. Nie pij wina kilkoma łykami: jest to zwyczaj pospolity, tylko jednym haustem acz powoli, patrząc w kieliszek, z którego pijesz“.

W dzisiejszem pojmowaniu *savoir vivre* przy stole a raczej i ściślej *savoir manger* bardzo uległ zmianie i ustabilizował się o tyle, że pewne rzeczy stały się już niewzruszalnie przyjęte i uznane i stanowią już raz na zawsze ustaloną bazę dobrych manier. Dziś, przynajmniej w pewnej sferze, niema mowy o rozpychaniu się łokciami, rzucaniu ości i kości poza siebie lub wycieraniu rąk w obrus. W dzisiejszym kodeksie dobrego tonu, wśród paragrafów dotyczących zachowania się przy stole, spotkalibyśmy się ze wskazówkami bardziej subtelnymi. Pouczonoby nas np., że w złym guście jest składanie noża i widelca na krzyż, że do siekaniny nie używa się noża, że śmieszny zakaz jedzenia ryby nożem już nie istnieje, tylko służy do tego nóż specjalny, że serwetki po jedzeniu składać nie należy i t. d.

Ale nie przesadzajmy. Wzorujmy się na Anglikach, nie przesadzajmy w układności i ultra-estetycznym sposobie jedzenia przeciętnego *englishman'a*, czem tak często przejmują się cudzoziemcy, a co w tamtejszych „sferach miarodajnych“ jest właśnie *shockin-giem*.

(t. n.)



Kuracja ziołami

Magistra WOLSKIEGO

Jednoczy w sobie tradycję wleków i zdobyczę wiedzy współczesnej

STOSUJE SIĘ:

PRZY CIERPIENIACH WĄTROBY,

woreczka żółciowego, kamicy żółciowej i żółtacze. Zioła ze znak. „BILLOSA”, które zawierają egzotyczne rośliny Combretum i Boldo.

PRZY OTYŁOŚCI

na tle wadliwej przemiany materii. Zioła ze znak. „DEGROSA”, które zawierają jod organiczny w roślinie Yabanga i nie wymagają specjalnej diety.

PRZY BEZSENNOŚCI,

nerwicy serca i zaburzeniach układu nerwowego. Zioła ze znak. „PASIVEROSA”, które zawierają kwiat Męki Pańskiej (Passiflora inn.).

PRZY KASZLU

zapłamieniu, ciężkości i duszności w piersiach i wszelkich cierpieniach płuc. Zioła ze znak. „PULMOSA”,

które zawierają Schin-Schin (rzadką roślinę chińską).

PRZY OBSTRUKCJI CHRONICZNEJ,
zaburzeniach żołądkowo-kiszczowych i do uregulowania trawienia. Zioła ze znak. „GASTROSA”.

PRZY CIERPIENIACH NEREK, PĘCHERZA,

miedniczek nerkowych i wszelkich dolegliwościach dróg moczowych. Zioła ze znak. „UROSA”, które zawierają roślinę indyjską Ortosiphon.

PRZY ARTRETYZMIE REUMATYZMIE

i bólach ischiasu Zioła ze znak. „REUMOSA”, które zawierają roślinę Schin-Schin.

Do nabycia w aptekach, składach aptecznych lub w wytwórni.

Magister WOLSKI, Warszawa, Złota 14, tel. 263-05

Objaśniające broszury wysyła bezpłatnie wytwórnia.

Ból w odciętej nodze

Gdyby ktoś powiedział, iż odczuwa silny ból w nodze, którą, wiemy, iż miał dawno amputowaną — mogłoby to wydać się albo urojeniem albo niedorzecznością.

Tymczasem zaś jest to zjawisko bynajmniej nie tak niezwykle, jak się pozornie wydaje.

Bywa również, że czujemy ból w posiadany członku ciała, aczkolwiek przyczyna tego bólu nie znajduje się w tym właśnie miejscu, w którym go odczuwamy. I to również uczucie nie jest zadziwiające.

Wyjaśnienie tych faktów polega na tem, że ból przeważnie nie ma siedziby w tym członku ciała, w którym się go czuje, lecz zależy całkowicie od działalności naszego mózgu.

Od mózgu, znajdującego się w czaszce, biegną przez mnieleż pacieryzowy kręgosłup włókna nerwów i grupy ich stopniowo rozgałęziają się w rozmaite części ciała; zupełnie tak samo, jak druty elektryczne rozgałęziają się od głównego kabla, idącego wzdłuż ulic.

Każdy taki drut może być, nawet bardzo daleko od swego właściwego zakończenia — miej-

sca, do którego ma przeprowadzać prąd, przecięty i gdyby do tego nowego końca włączyć np. telefon i podać sygnał do stacji centralnej, to ta będzie mniemała, że sygnał przychodzi od właściwego, dawnego końca tego drutu.

To samo właśnie zachodzi przy przecięciu jakiejś linii nerwów przy amputacji.

Każda linia nerwów prowadzi do określonej części lub członka ciała. Jeżeli taka linia zostaje przecięta, to przecięte w niej jest każde włókno nerwowe.

Podczas leczenia chorego lub później, gdy zagojona blizna lub cokolwiek innego podrażni włókno nerwowe, zachodzi zjawisko odczuwania takie, jakgdyby włókno ciągnęło się wciąż jeszcze do swego właściwego punktu końcowego i tam zostało podrażnione.

Jeżeli więc np. podrażnione włókno prowadziło uprzednio do wielkiego palca nogi, to pacjent może odczuwać ból lub świerzbień w tym członku, aczkolwiek w rzeczywistości noga była dawno amputowana.

(Według Hampson-Shaeffera)

L10, / 15838A/23581

WYKWIŃTNE PALTO

TYLKO
W FIRMIE



A^{dolf} Zaremba

WSPÓLNA 36